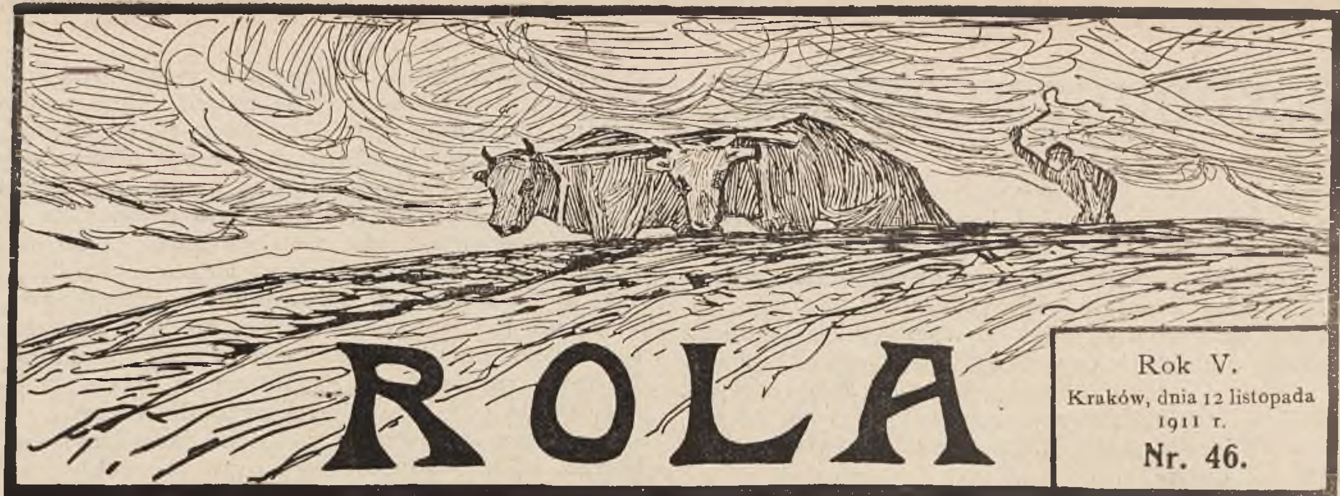


Rok V.
Kraków, dnia 12 listopada 1911 r.
Nr. 46.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Robotnicy polscy w Niemczech.



W Niemczech jest przemysł bardzo rozwinięty, a ponieważ w przemyśle są większe zarobki niż na roli, bo fabryki daleko więcej dają dochodu, wobec tego wszyscy robotnicy nietylko miejscy ale i rolni ciągną do fabryk a gruntów niema kto uprawiać. I gdyby tak wszyscy robotnicy polscy, których setki tysięcy wychodzi na robotę do Niemiec, spisknęli się i przez jeden tylko rok zamiast do Niemiec poszli do Francyi, Danii, Szwecyi i t. d. toby Niemcy straciły setki milionów; tysiące niemieckich właścicieli ziemskich by zbankrutowało, boby nie miał kto tam roli uprawiać. Z tego widać jakąby mógł mieć siłę biedny robotnik polski, gdyby był zorganizowany i przyłączył się do wielkiego Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego. Nie byłby wtedy tak wyzyskiwany w Prusach, boby w swojej biedzie mógł głos zabrać.

W ostatnim roku — jak podają sprawozdania niemieckie — liczba obcych robotników tak zwanych wędrownych wynosiła w Niemczech 588.354. Liczbę tę otrzymano na podstawie zliczenia kart legitymacyjnych. Najwięcej robotnika dali Polacy, mianowicie 323 3 6, Rusinów było 82.092, Węgrów 23.209, Włochów 39 672 Holendrów i Belgów 53.995, Niemców z Rosyi i Austryi okrągło 66.000. Że robotników rolnych jest w Niemczech ogromny brak, to wystarczy na dowód, ze 329,073 wędrownych robotników pracowało w rolnictwie, a w górnictwie i przemyśle 90.231.

Ogólna liczba wszystkich obcokrajowych robotników pracujących w państwie niemieckiem jest większą i przypuszczalnie dochodzi do miliona. Z samej Rosyi wędruje do Niemiec 400.000, a z Austro-Węgier również blisko 400.000. Obchodzenie się z tymi robotnikami w Niemczech maluje w jaskrawych barwach Niemiec, ale prawy, Dr Antoni Knohe, w książce pod tytułem »Obcokrajowi robotnicy wędrowni w Niemczech. Oto co opowiada:

Agenci otrzymują od właścicieli dóbr lub przedsiębiorców rolnych gotowe kontrakty pracy, w których znajdują się warunki robocizny i płacy. Ponieważ robotnicy z reguły nie umieją czytać po niemiecku, więc agent odczytuje te kontrakty, podając lepsze warunki od zawartych w kontrakcie, a więc oszukuje robotników. Agenci poprostu sprzedają tych robotników właścicielom dóbr, ciągnąc przytem ogromne korzyści. Dalszem obdzieraniem robotników na miejscu pracy zajmują się dozorcy. Otrzymują oni od przedsiębiorców płace dla robotników, którym dają znacznie mniejsze zarobki, niż im się należą. Niedawno — pisze Dr Knohe — zdarzyło się na Śląsku pruskim, że robotnicy z Galicyi byli godzeni do pracy za płacę nieco tylko niższą od tej jaką zwykle dają na Śląsku. Dozorcy zabierali ryczałtem pieniądze i wypłacali robotnikom znacznie mniejsze kwoty. Miesięczna płaca dla męskiego robotnika wynosiła w lecie 30 marek, a z tego otrzymywał robotnik tylko 15 marek, 15 marek dozorca kradł i chował do swej kieszeni. Agenci i dozorcy handlują chlebem, mięsem, piwem i cygarami, biorą wysokie ceny i zabraniają robotnikom kupować u kogo innego. Dzieją się często jeszcze większe nadużycia.

Stosunki życiowe obcych robotników opisuje Dr Knohe z oburzeniem. Mężczyźni i kobiety śpią w stajniach, stodołach, na strychach, pomieszani jak bydło, mając pod sobą garść słomy. Na Pomorzu i w Poznańskiem otrzymują robotnicy z Galicyi oprócz żywności zaledwie 2- do 24 marek miesięcznie, kobiety i chłopcy 10 do 20 marek. Podczas żniw najwyższe płace dochodzą do 28 marek. Ale też za te pieniądze nasz robotnik musi pracować trzy razy ciężej niż u nas i to dziwne, że tu w kraju nawet za dobrem wynagrodzeniem robotnikowi nie zawsze chce się pilnie pracować, ale u obcych pracuje całą siłą.

Rozbójnicze gniazdo.

XIX.

Powrót do Mierzejewic. — Wiadomości o mieczniku. — Opowiadanie Pacuka. — Ucieczka z niewoli. — Janasz wybiera się na Turków. —

Z północy zajechali przed dwór w Mierzejewicach, ciemny zupełnie. Wszyscy spali. Na głos Janasza, dobrze znany, jeden z wartowników pobiegł zaraz do podstarościego Wojdy, a drugi począł stukać w okna. Wojda nadbiegł w kożuchu, który narzucił naprędce, buty wdziawszy na bose nogi, i bez czapki.

— Wszelki duch Boga chwali! Janasz! — zawołał — a pani?

— Za godzinę najdalej będzie. Co o panu słychać?

— Nic nie wiecie? — spytał Wojda.

— Owszem, gorzej niż nic, bo płoche wieści. Ranny... w niewoli...

— No, tak, w niewoli — rzekł Wojda. — Są listy do miecznikowej. Piszą, że król gotów w zamian zań dać, co ma jeńców najprzedniejszych, ale trzeba, żeby tam kto do obozu jechał.

— Toć ja! choć jutro! — zawołał Janasz. — Niema co taić przed panią. Lepsza niewola niż rana.

Wojda głową kręcił.

— Obie licha warte...

Pobudzili się ludzie, zapalono światła. Nie było czasu w długą się wdawać rozmowę; dwór cały rozbiegł się, gotując na przyjęcie ukochanej pani. Przybycie jej łzy wyciskało z oczu.

Ksiądz Żudra poszedł do swej zimnej izdebki, w której mu chłopak dopiero ogień niecił. Oczekiwano tak na panią miecznikową, która w parę godzin, gdy już dwór cały zebrany był w ganku, nadjechała. Gdy w ganku obejrzała wszystkich, że zdrowi są i żywi, weszła dopiero na próg, z kropielnicy wody święconej wziąwszy, z modlitwą na ustach.

Wszystko było w porządku, dom się uśmiechał, jak dawniej, ale wspomnienie szczęśliwych chwil, w nim przeżytych, zatruwała myśl o mieczniku. Nie śmiała pytać jejmość; oglądała się, jakby szukała oczyma tego, którego jej tu brakło.

— Waszmość, panie Wojda, musisz mieć wiadomość o panu... — odezwała się głosem drżącym miecznikowa. — Mów, proszę, męztwo mam, siebie oszczędzać nie potrzebuję i chcę, by mnie nie oszczędzano. Całą prawdę mówić zalecam.

— Nie śmiałbym też jej przed jaśnie panią ukrywać — odezwał się Wojda. — Pan miecznik w niewoli.

— W niewoli! Jezu drogi! i ranny?

— Nie, zdrów jest. Pacuk był razem z jaśnie panem wzięty, ale umknął; on najlepszą zda relacyę.

— Niech przyjdzie natychmiast! — odezwała się pani Zboińska. — Chcę wiedzieć wszystko.

Pacuk był pachołkiem przy mieczniku, chłopak roztropny. Zaledwo posłano, zjawił się, jeszcze w tej odzieży odartej, w jakiej się wyrwał z rąk tureckich. Litość brała, patrząc na niego, tak wyglądał zbiedzony i wynędzniały. Przyszedłszy, do nóg upadł miecznikowej, zrazu przemówić nie mogąc, płakał i zanosił się od łez, lecz gdy mu mówić nakazano, począł zaraz, otarłszy łzy i odzyskując przytomność.

— Po tych wszystkich zwycięztwach i nieszczęśliwościach — rzekł — jakicheśmy doznali pod tym szkaradnym Wiedniem, gdzie nas tak przyjęto, że i nieprzyjacielowi nie życzyć lepiej, król jegomość i my z nim pociągnęliśmy zdobywać Parkany*) przeklęte. Niech już o tem kto inny rozpowiada, dosyć było biedy, anośmy na swojem postawili i znowu Niemcom zamek oddali. Siła mówić. Pan miecznik, pomimo tych niewygód, ba i pory takiej często, że psaby na podwórze nie wypędził, był zdrów i wesół. Dusza się radowała, patrząc na niego, bo się śmiał ze wszystkiego, choćby bieda była największa. Nieraz król jegomość bez namiotu legał, a co mówić o nas. Nieraześmy się suchym chlebem dzielili, dobrze kiedy i ten był. Zaraz pod Parkanami, gdy już je wzięto, raz, powróciwszy pan miecznik do namiotu wieczorem, powiada do mnie: »Pacuk, podobno się do drogi gotować, do królowej z listami pojadę, a może się uda i do Mierzejewic doskoczyć«. Mnie się aż serce gotowało z radości. Zaczęliśmy się pakować, choć niewiele tego było, bo lekko jechać mieliśmy. Nazajutrz listy już były gotowe. Pan miecznik samotnie ze mną i z Dąbskim ruszył. Jeszcze z rozkazu królewskiego miał obejrzeć oba pola bitwy pod Parkanami, bo tam okropna rzeź była i trupów jeszcze siła leżało, i zamki w Parkanach i Ostrzygoniu, czy jak się tam to licho nazywało. Wyjechaliśmy wzdłuż obozu Niemców, bo wodą na łodzi zamku opłynąć nie było podobna, tak trupy rzekę zawaliły, ruszyliśmy do Komorna. A do tego Komorna ani pan ani my drogi nie wiedzieliśmy. Pan śmiał się. »Droga? na końcu języka!« Nie dalej było pono niż mil pięć, ale kto go wiedział, którędy się tam dostać? Jechaliśmy ponad Dunajem, rzeką, która tam płynie. Przyłączyło się do nas kilkunastu Niemców, którzy też w tę stronę dążyli, zdawało się, że lepiej być nie może. Miecznik z Niemców żartował, a o Turku nikt i nie myślał, choć się tam ich ciurów dużo zawsze wałęsało. Kiedy tak, na nasze nieszczęście, jedziemy, aż oto przed nami kupa ludzi — w białych płaszczach. Było ich może z półtora sta. Pan miecznik powiada: »To Kroaty cesarskie, ja się z nimi rozmówię i języka dostanę«. Jakoż ścisnął konia, a my za nim. Te łotry w białych płaszczach patrzą na nas i stoją jak murowane, nie ruszają się. Byliśmy od nich o jakie trzydzieści kroków, kiedy patrzę, dobyli nagle szabel i jak się na nas rzucą z impetem strasznym! Koni już ani utrzymać było, ani zawrócić, bośmy pędem lecieli. Aniśmy się obejrzeli, gdy nam na karkach siedli. Niemcy, co z nami byli, ognia dali. Mnie zaraz jeden powalił na ziemię, ażem się krwią oblał i z rąk mi szabla wypadła. Miecznik siedział na szpaku, miał jeszcze czas się zawrócić i byłby może ujść zdołał, gdyby w pędzie Niemiec, który za nim leciał, koniem go i sobą nie uderzył, tak, iż szpak i pan padli na ziemię. Miecznik się zaraz porwał i chciał się bronić, lecz go opasali wokoło. Patrzę, jeden mu rękę podaje, bronić się nie było sposobu. Mnie drugi za kołnierz pochwycił i ciągnie. Takeśmy się nędznie do niewoli dostali. Lecz że pana miecznika starszy Turek wziął, a wiele sobie snać po nim obiecywał, łagodnie się z nim obszedł. Co z nami było i co się oberwało, mówić nie chcę. Było nas niewolnika pozbieranego, Niemców szczególniej, głów kilkanaście. Pod wieczór ustawiono nas pośrodku, straż z dzidami dokoła i tak pieszo musieliśmy iść do zameczku, który oni tam zajmowali. Rzeczkę, co go oblewała, przejść musieliśmy pieszo. Przed bramą Turcy dali ognia z pistoletów, bo u nich taki zwyczaj, gdy z jeńcami wracają. Już późną nocą wpuścili nas do środka. Turków było pełno. Poczęli nas prowadzić od jednego do drugiego, a każdy zosobna trząsł, szukając czyśmy przy sobie czego nie mieli, nawet w butach. Miecznik był, mimo wielkiego nieszczęścia, tak wielkiego serca, żem go nigdy nie widział spokojniejszym. Wzięli mu pektoralik, pierścienie, kiesę, wszystko. Od Annasza do Kaifasza wodzili, wypytując przez

*) Miasto na Węgrzech, w którem była bitwa z Turkami po zwycięztwie pod Wiedniem.

tłómaczów, którzy tam byli Węgrowie zbiegli i zdrajcy, ale miecznik nic mówić nie chciał, z nas dwóch żaden nie miał im co powiedzieć. Tak się nasza nędza zaczęła. Nas, przy dozorze, nazajutrz do roboty zaparli; chcieli i pana zaprządz do niej, ale powiedział wręcz, że do tego nie był nawykły. Strawą mizerną trzeba się było obchodzić. Żeby powiedzieć, iż się bardzo nad nami znęcali, nie mogę. We dwa czy trzy dni i my i pan miecznik przez tego, który nas wziął, zaprowadzeni byliśmy do starszego, którego tam zowią baszą. W pierwszej izbie buty nam pozrzucać kazali, bo to u nich uszanowanie, głowa nakryta a nogi bose. Dopiero nas wprowadzono do drugiej izby, której podłoga pokryta była kobiercem z kawałków zszywanym. Basza siedział na podniesieniu, obstawiony poduszkami w kącie, między dwoma oknami, a posłanie pod nim czerwono okryte i dokoła poduszki. Nad nim szabla wisiała i buńczuk z końskiego ogona czerwony. Tu dopiero poczęła się na nowo indagacya: gdzie? jak? co? ale miecznik mało co mówić chciał i dali mu pokój. Pozwolili siąść na ziemi i tego, co oni tam piją, przynieśli we filiżance. Wszystkich jeńców rozpatrzywszy, jegomości i mnie odesłał basza synowi swojemu na miasto. Tu już trzymali nas jak Bóg dał, niewiele się troszcząc, byleśmy żyli, dla okupu.

Tu się nieco zawahał Pacuk.

— Na noc nas zamykali do lochu, mnie i dyby na nogi kładli.

— A miecznik? — zapytała pani Zboińska.

— Nie śmieli mu ich kłaść — rzekł sługa. — Biedy i głodu, i nędzy zażyliśmy wielkiej, ano miecznik jeden nie tracił ani humoru, ani męztwa. Mnie już dopiekło to do śmierci. Gdybym na pana nie patrzył i od niego strofowany nie był, sądzę, żebym ziemię już gryzł. Jednego dnia, gdyśmy tak siedzieli na górze w izbie, a służba się porozchodziła, bo przy niej mówić nie było bezpiecznie, gdyż niektórzy z nich rozumieli coś języka naszego, odzywa się pan miecznik do mnie: »Pacuk, ja ciebie poznać nie mogę. W pierzynieś się nie chował, a stękasz i skwaśniałeś gorzej odemnie. No, to idź stąd do licha!« »Wolne żarty jasnego pana«, rzekłem. »Nie żartem ci to mówię: mógłbyś i sam być wolny, i mnie uczynić przysługę, boby się ludzie przez ciebie dowiedzieli, gdziem jest i co się ze mną dzieje«. »A jakże stąd uciekać?« zapytałem. »Chciejno tylko i myśl«, powiedział pan. »Jabym to dawno uczynił, alem trochę za stary. Tyś młody i znajdziesz sposób się stąd wyrwać. Odzież i tak ci dali, że po niej nie poznają. Parę słów nauczyłeś się od nich. Weź ino na rozum«. Otóż te słowa pańskie poskutkowały, wziąłem się od tego dnia myśleć, jakim umknąć sposobem? Niebardzo też oni nas, a więcej miecznika dla okupu pilnowali. W lochu, w którym nas na noc zamykano, począłem się grzebać. Miałem kąt osobny. Zrana wynosiłem ziemię, którą w nocy wydarłem rękami, a jamę cegłami zastawiałem. Tydzień cały kopiąc się, dopierom poczuł, że mi niewiele zostało, aby się na wolność dobyć. Jama była taka, żem siłą i mocą ledwie się mógł przecisnąć. Dom stał na pogorzelisku, opodal od zamku. Powiadam więc panu jednego dnia: »Jutro idę, co pan przykaże?« — »Ha!« rzekł miecznik: »innej dyspozycyi nie daję« — z przeproszeniem jaśnie pani, ale to własne słowa jegomości — »nie bądź kpem i nie daj się złapać, powiedz, że mnie Turcy tu trzymają, a znajdzie się kto co wymieni lub wykupi«. Pocałowałem w rękę pana, pożegnał mię. Nocą, gdy wszyscy spali, wlazłem w jamę, jeszczem ją za sobą zamknął i dobyłem się na podwórze. Pieszo umykać nie było sposobu, musiałem konia szukać. Wiedziałem, gdzie była stajnia, bom codzień musiał im konic czyścić; wszedłem do niej i już kulbaki nie szukając, ledwie uzdę nałożywszy, stępa wysunąłem się za miasto. Bóg ich ślepotą nawiedził, że mnie nie zobaczyli. Puściłem się na los szczęścia, co koń wyrwie. Nad ranem byłem w ogrodzie u Niemców. Tu mnie poprowadzili, oglądając za osobliwość, a że koń był, chociażem go po ciemku brał, najlepszy, samego kiai, zaraz mi go tam niemiecki pułkownik zagarnął. Szczęście, że i mnie razem z nim przyjaciele nie wzięli do niewoli. Napotkałem naszych panów, którym rozpowiedziałem wszystko, a z furami dostałem się do Krakowa. Stąd już pieszo.

Słuchano, nie przerywając Pacukowi.

— Król jegomość już wie o wszystkiem — dodał wkońcu — i dał słowo swe, że choćby dziesięciu najprzedniejszych jeńców oddać przyszło, pana miecznika zamianą dostanie bez wykupu.

— I o wykup nie będzie trudno — zawołala miecznikowa. — Lecz kogoż tu użyć?

Janasz wystąpił.

— Ja powinienem i muszę jechać, albo niewolę z panem dzielić i w niej mu służyć, lub go z niej uwolnić. Poprzysiągłem to sobie.

Miecznikowa spojrzała nań.

— Dobre z waszmości dziecko — rzekła — ale wieszże na co się porywasz? Gdybym nie była kobietą, poszłabym sama... Jedź waszmość. Spocznij teraz i nabierz sił, pomówimy o tem jutro.

— Jabym i dnia nie chciał zwlec — odezwał się Janasz — myśląc o tej niewoli, której okropności Pacuk pewnie opowiedzieć nam nie mógł. Każda godzina droga, pocóż zwlekać? Czas wielki!

Miecznikowa namyślała się.

— Jutro — rzekła. — Idź waszmość spocznij, ja się pomodlę i obmyślimy co czynić należy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



UKOCHAJ!

Ukochaj, bracie! ukochaj szczerze!
Tę mowę naszą ojczystą,
Stań na jej straży, by była zawsze
Piękną, poprawną i czystą.

Ukochaj, bracie! bo to skarb święty,
To ojców naszych spuścizna,
A z nią ukochaj ziemię tę drogą,
Co krwią i łzami jest żyzna.

Ukochaj wszystko, co się wokoło
Przed wzrokiem twoim rozsnuwa,
Od listka, trawki, aż hen! do ptaka,
Co gdzieś w błękicie... tam fruwa.

Choć myślą dalej pobiegnij jeszcze
Gdzie świat się inny roztacza...
Gdzie są w niejednym kraju w obczyźnie
Groby Polaka-tułacza.

A może kiedyś z kości tułaczy
I z prochów polskiej mogiły
Powstanie w grozie i majestacie
Dla wrogów — mściciel straszliwy.

Lecz nim wyzwolim ojczyznę naszą,
Zanim nadejdzie zbawienie,
Strzeż mowy, bracie, i kochaj więcej,
Nad życie twoje, nad mienie.

Choć się wróg pieni, choć nam zabierze
Już wszystkie skarby tej ziemi,
Mowy nie weźmie i przez nią zawsze
Zostaniem ludźmi — wolnymi!

Stefania Szybowiczówna.

Spotkanie z rodakami na obczyźnie.

(Wrażenia z podróży Księdza-Misyonarza).

Nazajutrz rano, była to niedziela, gdym otwierał okno, spotkała mię miła niespodzianka. Przed wystawą, naprzeciwko, stała gromadka ludzi. A wszyscy głośno rajcowali. Były to nasze Marysie i Basie, nasze Wojtki i Bartki, jak poznałem z ich rozmowy. Ucieszyłem się bardzo, gdym ich obaczył. »O, tego siwego, nim pojedziemy, to se musę kupić na całe wdzionie!« trajkotała na całą ulicę, zachwycona sztuką tkaniny jakaś hoża Marysia. Dźwięk polskiej mowy, której echo niosło się między stare niemieckie mury, a tak dziwnie wśród obcego środowiska brzmiało, wzruszył mię już do głębi. Prędko się zebrałem i poszedłem ku gromadce rodaków. — Naszedłem ich całkiem niespodzianie. To też gdym ich słowem Pańskiem pozdrowił, zerwali się, wpatrzyli we mnie i stanęli oniemiali.

»Dyć to nas ksiądz, Jezus kochany!« — ozwała się wreszcie któraś z dziewcząt. Na to hasło rzuciła się wiara do przywitania. A witaliśmy się ze łzami, jak najlepsi przyjaciele. Przecie my rodacy! Jednej matki Polski dzieci, a na dalekiej obczyźnie, jak te tułacze zbłąkane, razem się spotykające. Oj, było też radości z tego i we mnie i w nich!

Miałem takich spotkań potem wiele, a wszystkie były jednakie, nigdzie nie obyło się bez łez, bo też ten nasz lud mocno jest jeszcze do Kościoła św. a do księdza przywiązany.

Z gromadką rodaków udałem się do kościoła. Po drodze dowiedziałem się od nich, iż pochodzą od Wielunia, z Królestwa Polskiego, a robią w jednym dworze, o milę od Altenburga. Dwa dni prawie tłukli się »ajzybunem« (Eisenbahn — kolej), zanim tu dojechali, prawił rezolutnie jeden parobczak. »Gieltok« (Geldtag — dzień wypłaty) mają dosyć dobry, można za lato kilkadziesiąt marek »uszparować« (sparen — oszczędzać). Słuchałem cierpliwie tej paplaniny. Dopiero na końcu wyśmiałem tego rezoluta i jego »światową« mowę.

Przypomniał mi ten mędrek naszych urlopników. Takie nasze »cesarskie dziecko« pochwyci przy wojsku cośniecoś z niemczyzny i później w domu »śprechuje« jak w dragońskiej stajni, sam siebie nie rozumiejąc; »kunieruje« »fotra« i »mutre«, gdy cudaka pojąć nie mogą, to on myśli, że mądry!

Mój Boże, to tam, pod Prusakiem, małe dzieci straszne katowania znoszą za to jedynie, że po polsku chcą się modlić, albo jedno do drugiego w ojczystej mowie przemówić, a tu u nas tak się ten język plugawi! Głupi jeszcze jest ten naród, co swego języka nie szanuje. Mowa ojczysta, to dar Boży, który nieskalany zachować trzeba! Kto ją więc kaleczy — grzeszy. Ale to już taka nasza polska natura. Wolność nas rozpiera, tak, jak »chleb ludzi bodzie«. Syty gardzi okruszyną chleba. Kiedy dopiero głód na niego przyjdzie, ciężko za nią wzdycha. Tak i ze sprawą naszą narodową. Pod austryackimi rządami mamy wolność. Wolno nam po polsku mówić, w polskim języku uczyć się, polskie pieśni śpiewać, polskie dzieje poznawać, czcić głośno pamięć wielkich spraw dziejowych, po polsku się nosić — wszystko nam wolno — jak za dawnej Rzeczypospolitej. A u nas jak się z tej wolności korzysta? Mowę się plugawi, o dawnych Polakach słuchać się nie chce, polski strój się zarzuca, a przywdziewa niemiecki kubrak itp. Po polsku żyją nasi dopiero na Górnym Śląsku i w Poznańskiem. Tam jest duch szczerze polski! A czemu? Bo wolności niema, bo wszystko co polskie rząd pruski gniecie i chce wytępić. Więc naród się broni i szanuje to, co mu chcą wydrzeć.

Przyszliśmy do kościoła a raczej kaplicy. — W zacisznem ustroniu miasta, w niewielkim ogródku, wznosi się piętrowy budynek. Po krzyżu u szczytu już zdala poznajesz, że to Dom Boży. Wewnątrz na dole mieści się szkoła, a na piętrze kaplica. Skromniutki to przybytek, jak wszystkie zresztą katolickie kościółki w tej okolicy. Saksonia bowiem i Turyngia, to środek luteranizmu. W początkach 16 wieku grasował tu Luter. Znać też dobrze jego gospodarkę po dziś dzień. Ludność oderwana od Kościoła św., przepojona Lutra nauką, żyje tak, jakby to życie na ziemi swój kres miało. Wyższych jakichś dążności, pragnień, jakiegoś polotu ducha, dopatrzeć się tam nie można. Zdaje się, że ci Niemcy żyją jedynie po to, by przez dzień coprędzej robotę wykonać, a wieczorem swoje godziny w knajpie odsiedzieć. Innych trosk ni pragnień oni nie mają. Bo religia ich martwa ducha nie ożywi i ku wyższym dążnościom nie podnieci. Na każdem obliczu odbija się piętno bezdusznego luteranizmu.

To samo rzec można o luterskich kościołach. Niektóre z nich, zwłaszcza starsze, wydarte katolikom, to budowle wielkie, wspaniałe, ozdobne na zewnątrz. A wejdź do środka! Owionie cię pustka i martwota! Ściany z ozdób odarte, ołtarze powyrzucane; głucho, goło, pusto i tak jakoś przykro, że aż mróz człowieka przechodzi!

A wejdź do naszego kościoła. Choćby był pusty, to tej pustki nie czujesz, bo Bóg tam mieszka prawdziwy w Najśw. Sakramencie Ołtarza utajony. A Lutry tego Boga w swoich „kirchach“ nie mają. W Saksonii i Turyngii wszystkie kościoły, jakie tylko obaczysz, to luterskie zbory. Katolickie kościółki kryją się skromniutkie w zaciszach. Utrzymywane przez związek św. Bonifacego, rozsiane dzisiaj już dość gęsto po kraju, robią wrażenie misyjnych placówek gdzieś w pogańskich krajach. W tych to kościółkach skupia się garść katolików Niemców, a wypełniają je Polacy.

Tak jest w Altenburgu. Pełno było ludzi w kościele, ale byli to prawie sami nasi od Kalisza i Wielunia, polni robotnicy. Gdym wszedł na ambonę, to na niemieckie pozdrowienie: »Gelobt sei Jesus Christus«, ktoniekto zaledwie odpowiedział. A gdym po przeczytaniu niemieckiej ewangelii wypowiedział nasze »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, to cały kościół odpowiedzią zagrzmiał: »Na wieki wieków, amen«.

Z natury nie jestem może tak zimny, ale panuję nad sobą i wzruszeniom nie łatwo ulegam; zapałowi też porywać się nie daję. Tam trudno się było przed tem ostać. Jakiś inny duch w człowieka wstępuje, gdy nad tą rzeszą rodaków tem słowem Bożem tam na wygnaniu władnie. Czuje się wtedy w sercu miłość ogromną i wielką jakąś potęgę. I z tej miłości płynie potem to słowo Boże w te serca otwarte. — A jak ci ludzie każde słowo w siebie chłoną! Mój Boże! żeby te słowa Boże tak na zawsze w serca i umysły się wpiły i stały się potem ogniskiem myśli, słów i czynów tych ludzi, toby wartało całą Polskę przez to wygnanie przeprowadzić.

Po kazaniu przyszła spowiedź. Wszyscy się spowiadali. Cały tydzień garnęli się ludziska do trybunału pokuty po pociechę duszy i to nocami. Polni bowiem robotnicy przez dzień roboty pilnować muszą; a do kościoła w dni powszednie na spowiedź i na nauki nocami przychodzą. Nie żałują sobie jednak tego trudu, czując potem wielkie zadowolenie na duszy. I kapłan o znużeniu zapomina, gdy widzi taką gorliwość. Owszem, coraz większa ochota i podniecenie w człowieka wstępuje.

Ks. Władysław Staich.

POSELSTWO DO TURCYI.



Poselstwo do Turcyi.

Turcya z powodu wojny z Włochami o Trypolis jest dzisiaj prawie na wszystkich ustach. Naród to niegdyś potężny, często prawie najpotężniejszy na świecie, dzisiaj podupadł, że potężne mocarstwa prawie z nim się nie liczą.

Dawniej jednak było inaczej. Turcy przepojeni fanatyzmem religijnym zagrażali całej Europie a całemu chrześcijaństwu przedewszystkiem. Religia mahometańska, w którą Turcy wierzą, powiada, że kto umrze za wiarę, ten pójdzie wprost do nieba, a ta wiara ich nakazywała im najbardziej nienawidzieć chrześcijan, to też Turcy, idąc do walki z chrześcijanami, szukali śmierci w bitwie, chcąc zyskać przez to uprawnienie do nieba. Wojny takie ogłaszali za »wojny święte«, przez co walki z nimi były nadzwyczaj krwawe.

I były czasy, w których, zdawało się, że cały świat a z nim całe chrześcijaństwo padnie u ich stóp, tak zdawali się silni i potężni.

Jedynem przedmurzem chrześcijaństwa i całej Europy byli Polacy, którzy zasłaniali je przed zajadłością turecką. Długie czasy borykali się z nimi — raz byli zwycięzcami, drugi raz zwyciężonymi, póki bohaterski król Sobieski nie złamał ich potęgi.

Od tego czasu Turcy przycichli i nietylko, że nie zagrażali sąsiadom, ale sami nieraz musieli się dobrze bronić, aby utrzymać się w swoich posiadłościach europejskich.

Dziś, zdawało się, że znaczenie i siła Turków stały się nic nieznaczącymi, dlatego też Włochy same niezbyt silne pokusiły się o zajęcie im Trypolisu. Trudno przewidzieć, jaki będzie ostateczny wynik obecnej wojny, ale jakikolwiek on będzie, gdy jedna ze stron wojujących spostrzeże, że dalsza walka jest bezcelową, wmieszają się mocarstwa i bijących się pogodzą.

W czasach obecnych, w wieku pary i elektryczności, ugoda taka może nastąpić bardzo prędko, bez wysyłania specyalnych poselstw, bo mocarstwa mogą porozumiewać się ze sobą za pomocą rozmów telegraficznych. Dopiero po takich porozumieniach zjadą się pełnomocnicy dwóch narodów w celu ostatecznego ułożenia warunków i podpisania pokoju. Rzecz taka odbywa się obecnie po cichu.

Dawniej atoli bywało inaczej. Czy to dwa państwa chciały zawrzeć ze sobą pokój w czasie wojny, czy też przed spodziewaną wojną omówić warunki zgody, wysyłało jedno z nich do drugiego poselstwo, które miało rzecz tę omówić. Do poselstwa takiego wybierano nietylko ludzi mądrych, ale bogatych a często przystojnych i silnych, aby już samym wyglądem zrobili dobre wrażenie na przeciwniku. Poselstwo takie, wystrojone od stóp do głów, wjeżdżało do stolicy nieprzyjacielskiej witane również przez dobór rycerstwa. I nieraz dobry wygląd poselstwa przyczyniał się do zakończenia sprawy.

Polacy, którzy, jak powiedzieliśmy, ciągle byli w zatargach z Turkami, wysyłali do ich stolicy, Stambułu, poselstwa, które niejeden spór łagodziły.

Jedno z takich poselstw, prowadzone przez Wawrzyńca Fredrę, odmalował sławny artysta polski Juliusz Kossak. Podobiznę jego obrazu podajemy na poprzedniej stronie »Roli«. Na obrazie tym widać w dali dumne wieżyce meczetów tureckich a bliżej szeregi ich rycerzy. Na białym koniu jedzie Wawrzyniec Fredro w otoczeniu dostojników tureckich, którzy prowadzą go przed oblicze sułtana. Dzielna postawa i śmiały wzrok Fredry wskazuje, że poseł ma za sobą potężne państwo, które słowa jego może szablą poprzeć.



MACIEK BZDURA GADA:

Dziwują się ludzie koniowi albo krowie, ze ni ma ani krzty rozumu a przecie są na świecie ludzie jesce głupsiejsi od tych nierozumnych dźwirzątek. Gdyby tak krowa abo koń umiały gadać, toby cięgiem gadały tem językiem, jakiego ich krowska matka naucyła. Gadałyby tak, choć to niby rozumu ni mają. A co pedzieć o człowieku, który się to niby chwali, ze ma rozum, a jak zacnie gadać, to tak jęzorem wywija, ze se go o mało nie wykręci, a z jego gadania ani pies się nie wyzna.

Mam tu na myśli mojego sąsiada Walka Pyrtałę, który wkiejsik na odwiecyrz ze saksów przyjechał. Jak był w chałpie, to go wszyscy uznajali za niezdatnego nawet do pasienia cieląt, a teraz niećciwiara, to się z niego taki mądrala zrobił, co do niego bez kija nie przystępuj.

Jagem sedł wkiejsik z niesporów, spotkałem Walka za Przydziałową sośniną i chciałem go po katolicku przywitać, mówiąc: »Pochwalony!« A on wsadził ręce do kieseniów i gada:

— Wi giec inen?

— Bodaj cię pokręciło! — gadam mu — a ty co bełkoces?

— To wis jest taka miemiecka śpracha — on mi na to — a znacy: Jak się mas?

Poźrołem na niego lepi, bo mi się zdawało, ze jest albo pijany, albo cosik tam ma nie tego we łbie. Byłem pewny, ze zbzikował, więc wziąłem nogi za pas i jazda do chałpy. Przysedem zdysany i zziajany, ze jaze się gospodarz zdziwili. Jagem jem opedzioł o spotkaniu, tak oni na to:

— Takich zbzikowanych, jak Walek, to teraz po wsiach całe chmary. Jedno i drugie prózniacysko, któremu się nie chce robić, jedzie na lato na saksy a pod jesień wraca. Przez lato na saksach się wychowa, a wracając, kupi po jakim nieboscyku świabie stare portki i stary kabat, a prócz tego łańcusek za dwie szóstki i w tem wystrojony po cudacku, wraca do chałpy. — W chałpie udaje Miemca, choć sam po miemiecku słowa nie rozumi.

— A to kijem takiego — ja na to.

— Oj, wartałoby kijem — ciągnęli dalej gospodarz. — Ale nietylko te obiezysasy wykręcają se język, bo i ci co do wojska idą, zamiast gadać po nasemu, to przekręcają słowa po nijakiemu. A w całem ich gadaniu to latają same »śtruzaki«, »kapuśtraki», »brucaki« i inne słowa, których zaden porządny Polak, ani zaden Miemiec nie zrozumi. Tacy pletą głupstwa a jem się widzi, ze są mądrzy.

Jak gospodarz tak gadali, to mi przysły wtedy na myśl konie i krowy. Cemu zadna krowa nie rzy, a koń nie becy; cemu zadne śnich nie krace, jak wrona, ino kuzde swojem językiem ze sobą gada. Bez co więc ludzie mają być głupsi od dźwirząt, to ja sam nie wiem.

Wierzba na mogile.

Na pięknym pagórku rozciągała się zagroda pewnego szlachcica, mającego piękne gospodarstwo. Szlachcic ów, kiedy spojrzał na to swoje bogactwo, zamiast się uśmiechnąć, smutnie jakoś wzdychał i łza mu w oku zabłysła. Wspominał sobie lata młodości, kiedy na wroga po raz pierwszy się wybierał z ojcem; to znów wspomniał chwilę, kiedy sobie wziął za żonę córkę pewnego starosty, piękną, ale nieposłuszną, która, powiwszy mu córkę, po czterech latach umarła.

Wtedy szlachcic, jeszcze młody, ożenił się po raz drugi, biorąc za żonę ubogą córkę kmiecia, ale cnotliwą i posłuszną we wszystkiem, którą bardzo kochał. Ta znowu umarła, zostawiając mu wielki smutek i dwie jeszcze małe córki. Strapiony wdowiec z bolem wspominał swe nieszczęścia, lecz wnet ocknął się, przypomniawszy sobie, że jeszcze ma trzy córki, których wychowaniem powinien się zająć. Ale, niestety, najstarsza córka była niedobra i nie rada widziała małe siostrzyczki.



Razu jednego wybrały się, bez pozwolenia ojca, na poziomki do pobliskiego lasu. Gdy już były w lesie spotkał je staruszek nieznany i zapytał:

— Gdzie idziecie, kochane dziateczki?

— A co wam do tego, gdzie idziemy — odpowiedziała najstarsza.

— Idziemy na poziomki — zawołały obie wraz małe siostry.

Wtedy starzec się uśmiechnął i odpowiedział:

— Która mi najwięcej i najpiękniejszych poziomek nazbiera, tej dam piękny upominek!

To rzekłszy, znikł z przed oczu trzem siostrom.

Dziewczęta zaczęły się spieszyć, co jedna to szybciej, ale to długo nie trwało, gdyż najstarsza, leniwa, nie mogła dorównać siostrom, a najmłodsza była najpilniejsza. Gdy już najmłodsza miała pełny koszyczek poziomek, starsza miała dopiero trzy czwarte, a najstarsza dopiero pół koszyczka. Wtedy znów, jak poprzednio, zjawił się starzec z siwą brodą i ujrzał, że najmłodsza miała najpiękniejsze i najwięcej poziomek. Dał jej więc pozłacane pudełko, w którem znajdowały się prawie królewskie szaty, i znikł, jak poprzednio. Naraz najstarszej przyszła straszna myśl, żeby najmłodszą siostrę zabić, a skarbem podzielić się z młodszą siostrą.

Co pomyślała, to zrobiła.

Wzięła gruby kij i tak silnie uderzyła siostrę w głowę, że ta zaraz padła nieżywa. Siostra młodsza, gdy to ujrzała, zaraz padła zemdlona na ziemię. Najstarsza, gdy ujrzała dwie siostry, leżące na ziemi, bardzo się przelękła swego czynu, ale zaraz się opamiętała i zaczęła cucić młodszą siostrę, bo najmłodsza już ducha wyzionęła. Gdy ją przyprowadziła do przytomności, rzekła:

— Jeśli chcesz, żebym cię zostawiła przy życiu, to mi musisz złożyć przysięgę, że mnie nigdy nie zdradzisz najmniejszem słowem.

Młodsza, chcąc nie chcąc, musiała przysiądz, że jej nigdy nie zdradzi, tylko wtedy, jakby umarła.

Opodal od nich była ziemia piaszczysta, więc, wziąwszy jedna za nogi, druga za ręce zabitą siostrę, poczęły wygrzebywać dość głęboki dół i z płaczem młodszej siostry, złożyły ją do niego i zasypały. Pomimo nalegań najstarszej, aby szły do domu, młodsza nie mogła rozłączyć się z grobem ukochanej siostry. Nabrawszy jednak odwagi, zaczęła się wybierać za odchodzącą siostrą zabójczynią. Ale nim odeszła, wzięła kij leżący i wsadziła go w grób.

Gdy przyszły do domu, ojciec, zafrasowany o córki, pyta się, gdzie jest najmłodsza córka?

— Gdyśmy szły do domu — odrzekła najstarsza — to się gdzieś od nas oddaliła i już my jej nie widziały.

To samo mówiła i młodsza z bolem w sercu. Radaby mówić prawdę, ale oko starszej siostry zmusiło ją do kłamstwa. Wtedy zrozpaczony ojciec wybiegł ją szukać ze służbą, ale znalazł tylko jej szaty, które umyślnie położyła najstarsza, żeby ojciec myślał, że ją dzikie zwierzęta pożarły. I tak ojciec smutny po nowej stracie, przyszedł złamany do domu.

* * *

Rok minął od tego czasu, a w domu szlachcica nic się nie zmieniło, tylko smutek ciągle panował a szlachcicowi włos posiwiał. Ten szlachcic miał dużo owiec, które pasł chłopiec piękny, ale także smutny, bo on dawniej bawił się z zaginioną od roku córką szlachcica. Pewnego razu też pasł owce w tym samym lesie, gdzie przed rokiem siostry zbierały poziomki i naraz ujrzał na małym kopcu zielony kij wierzbowy. Bez namysłu ściął go i zrobił sobie zeń piszczałkę. Wtedy, zadowolony z pięknej piszczałki, począł grać na niej, ale, o dziwo! piszczałka zaczęła mówić:

Graj pastuszku, graj...
Starsza siostra mię zabiła,
Młodsza siostra mię broniła,
Graj pastuszku, graj!...
Graj pastuszku, graj!
Starsza siostra mię zabiła,
Pod tą wierzbą mię złożyła,
Graj, kochany, graj!

Gdy skończył grać, zdziwiony, pomyślał zaraz, co to znaczy i pobiegł powiedzieć to panu. Gdy stanął przed nim zdyszany, szlachcic zdziwiony zapytał, co to znaczy. Pastuszek oddał mu piszczałkę i kazał na niej grać. Gdy szlachcic zaczął grać, piszczałka powtórzyła powyższe słowa. Zaraz ojciec pobiegł na wskazane miejsce i zaczął odgrzebywać piasek, aż nareszcie znalazł zwłoki swej kochanej córki, ale tak piękne, jak gdyby dopiero wczoraj tam je kto złożył. Zrozpaczony ojciec postawił jej krzyż w lesie na pamiątkę, zaś starszą jej siostrę kazał zamknąć do ciemnicy na tak długo, dopóki nie umarła, a młodszą zostawił sobie przy boku, która osładzała mu smutne dni żywota.

Długi czas opowiadali ludzie o tem zdarzeniu. Widzieli w tem palec Boży, który żadnej zbrodni ukryć się nie pozwoli.

Robert Szewieczek.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

OPOWIADANIE TRZECIE.

Rękopis z Sułtańskiej komnaty.

I.

W imię Boga Wszechmogącego w Trójcy św. jedynego, amen. Czując bliską chwilę zgonu mego, oraz że wkrótce powołany zostanę przed straszny sąd Boży, ja Jan Bogdański z Grzymały, kasztelan sandomierski, oznajmiam dzieciom, wnukom i wnukom wnuków moich co następuje:

W zamku, który wzniosłem w Grzymale rękami jeńców tureckich i tatarskich, jakich wziąłem do niewoli pod Wiedniem, w komnacie zwanej sułtańską, w pudle mieści się rubin kosztowny, oceniony przez złotników krakowskich na trzykroć sto tysięcy złotych. Rubin ten, wolą moją jest, ażeby przechodził dziedzictwem na najstarszego w rodzie moim i nie był sprzedawany, chyba w momencie wielkiej klęski rodzinnej, gdy już żadnych innych środków ratunku nie będzie. Gdy zasię ród może po mieczu wygasnąć i ostaną jeno same białogłowy wonczas rubin ów ma być sprzedany i gdy one dziewki, wieleby ich tam było, szły zamąż, każdej z nich z sumy otrzymanej za sprzedaż rubinu, ma być wyznaczony po sag w dwóch równych częściach, trzecia zasię część sumy szacunkowej ofiarowana być ma na kościół.

Że zaś co czynię, czynię nie z własnej woli alboli też fantazyi, jeno z musu i po długim namyśle, otóż chcąc wytłomaczyć się potomkom moim, dla czego zakazuję i zabraniam im najuroczyściej sprzedaży onego rubinu, należy mi tu opisać, jako ten kamień dostał się w me ręce.

Jako wiadomo tym, co czytają kroniki, R. P. 1683 poszliśmy z królem Imci Janem Sobieskim na pomoc cesarzowi, od okrutnej nawały tureckiej. Sam wielki wezyr, Kara Mustafa, z niezliczonemi tłumami obległ miasto cesarskie, strzelając doń z armat ogromnych i grożąc, gdyby zasię Wiedeń się poddał, zagładą całemu światu chrześcijańskiemu. Jakoż tak to było i słusznie król Jan uczynił, że dopomógł Rakuszanom.

Wstąpiłem ja na oną wyprawę do chorągwi JW. wojewody lubelskiego Karola Tarły, za towarzysza husarskiego, własnym kosztem się uzbroiwszy a suto. Kiedy przyszło gotować się na ową wyprawę pod Wiedeń, wyczerpałem ostatki mej fortuny, by okazać się Niemcom przystojnie i nie najeść się wstydu.

Młody też byłem czasu onej wyprawy, liczyłem dopiero 23 rok życia i świat cały jeno śmiał się do mnie a ja do niego. Nie będę tu opisywał jako i przez jakie kraje a nacye szliśmy pod Wiedeń, dość żeśmy tam przyszli 11 septembra i z gór, które się zowią Kahlenberg, na których klasztor Kamedułów stał spalony z kretesem, ujrzeliśmy nocą on wielki obóz turecki. Zdało mi się, że to miasto jakie, a tak obszerne jako Warszawa albo Lwów... jakeś okiem jeno sięgnął, wszędzie błyszczały ognie obozowe i szła od nich łuna krwawa na czarne chmury i czarne niebiosa. Nazajutrz o świcie zaczęliśmy się szykować a dzień był gorący. Król zaś nasz był przepasany złotym łańcuchem i siedział na płowym koniu, którego zwano »Pałasz«. Jak się już uszykowało wojsko, przybiega do chorągwi królewicza Aleksandra i naszej rezydent i gada, by porucznicy szli do króla t. j. imci pan Zwierzchowski, podkomorzy łomżyński i imci pan Tarło. Przypadli tedy oba przed króla, a ten, wziąwszy perspektywę, i rekognoskując wojsko tureckie, mówi do nich:

— Widzicie waszmość tę kupkę?

— Widzimy, miłościwy królu.

— Otóż to tam — rzecze dalej król — sam wezyr stoi, żebyście mi waszmość panowie tam w nim kopię skruszyli, rozkazuje.

Odebrawszy ten ordynans ustny, przyskoczyli do nas porucznicy i ruszyli z nami na tę imprezę.

Zrazu niceśmy przed sobą nie widzieli, bo się kurz haniebny z pod kopyt końskich podniósł, jeno z boków migały się nam wojska wielkie, które się przed nami rozstępowały, i tak przypadliśmy pod same namioty wezyrskie. Dopiero tak, jakby kto w ul pszczół dmuchnął, rzucili się na nas Turcy, to z dzidami, to z szablami, aleśmy to wszystko roznieśli kopią i widzimy, jako srogi popłoch padł na Turków i każdy ucieka, co mu jeno sił starczy. A już za nami idą inne wojska, i rzeź sroga...

Wtem czuję, jako mój koń zachwiał się i padł rażony postrzałem, a było to u namiotu jakiegoś wielkiego, przed którym stał buńczuk wezyrski. Zeskoczyłem tedy z konia i obejrzę się. Oto z namiotu wypada murzyn srogi i dzierżąc w dłoni kindżał, ciągnie za sobą białogłowę, która krzyczy i prosi miłosierdzia. Pasya mię więc porwała ostatnia na tego murzyna, co chciał rzezać oną białogłowę i dobywszy szabli, tnę onego niecnotę przez łeb aż padł krwią się własną zlewając. A białogłowa klęka przedemną i ręce składa jak do modlitwy. Nie wiedząc, stara-li czy młoda, zerwę z niej obsłonę i patrzę... a to dziwo, piękność nad pięknościami... Skamieniałem i sam nie wiem, co czynić, a koło serca robi mi się miękko.

Kiedy tak stóję, ktoś huknie mi nad uchem:

— Owo namiot samego wezyra!

Obejrzę się i patrzę, a to towarzysz z chorągwi królewicza Aleksandra złazi z konia i gada:

— Tu musi być bogactwo! — i wali do namiotu.

Tedy ja oprzytomniałem i wziąwszy oną dziewkę wpół, idę do namiotu z gołą szablą w garści, a dziewka gnie mi się jako trup, bo omdlała z wielkiej trwogi. U samego wstępu do namiotu potknę się o coś; patrzę, leży misterne pudło, a w niem rubin z kitą czaplą, rubin wielkości dużego orzecha laskowego.

— Skarb! — huknę — i chwycę on rubin i wsadzę go sobie w zanadrze. A już też wiara nasza rozrywa namiot i wpadają i bierze każden, co może. Mnie, okrom onego rubinu, dostała się kiesa, w której było dziesięć tysięcy dukatów, szabla złota i on kindżał murzyński, suto sadzony drogimi kamieniami. Wyszedłszy przed namiot, wciąż z dziewką pod pachą, patrzę, pachołek prowadzi dwa śliczne bachmaty tureckie.

— Czyje konie? — pytam.

— A moje, bom je wziął, zabiwszy Turka.

— Sprzedaj mi jednego,

— Czemu nie, dobrze waść zapłać, to sprzedam.

Targ w targ, dałem mu 200 dukatów wezyrskich i dosiadłszy konia, a ułożywszy dziewkę przed sobą na łęku, pognałem do naszego obozu, odcinając się na drodze nieco Tatarom i Turkom. Ale już niedaleko obozu najechała mię kupa tureckich hultai i dalejże na mnie. Wziąłem ich na szablę i wyszedłem żywy, ala mię jeden niecnota zaciął nieco przez ramię i krew mi uszła, kiedym dopadł swoich.

Zrazu straciłem przytomność, a kiedym przyszedł do siebie, leżałem w moim namiocie i pachołek mój, oraz drugi stary sługa, chadzali koło mnie. Branka zasię, okrywszy twarz zasłoną, siedziała w kącie namiotu Całe dwie niedziele lizałem się z moich ran, a wojsko tymczasem poszło dalej, nim zaś i ja wyruszyć mogłem, zaszła ona szpetna potrzeba pod

Parkanami, kędy król jegomość ledwie uszedł z duszą. Kiedym się już wybierał, rzeknę ja do starego sługi mego:

— Andrzeju, kupcie wózek jako należy i zawieźcie oną turecką brankę do Grzymały, oraz ów rubin wezyrski.

— Rubin jak rubin, to i dobrze, boć to fortuna, ale żeby zaś tę pogankę wieźć, paniczu, do Polski, to mi się nijak nie widzi...

— Pleciesz stary głupstwa, ona branka naprzód nie jest żadną poganką, bo to nie jest niewiasta turecka, jeno Greczynka, a więc greckiej wiary, nadto księżną. A kto jest greckiej wiary, ten jest chrześcijaninem, więc nie poganin. Powtóre, co ja z białogłową na wojnie czynić będę? Ano... nie rzucę jej tak i niema o czem gadać. Jutro świtaniem ruszysz do domu z branką i rubinem i nakazuję ci surowo strzedz księżnej jako oka w głowie i cześć jej wszelaką oddawać. Ono co jest.

Tak się też i stało — a choć branka do mnie nic gadać nie chciała, owszem ciągle w srogiej pogrążona była melankolii, przecież gdym się z nią żegnał, jakaś tęskność mię ogarnęła i smutek głęboki.

Na wiosnę się już miało, kiedym się dowlókł do kopców Rzeczypospolitej, gdyż jechałem taborem dużym w sześć wozów i kilkanaście też koni szło luzem, a wszystko pięknych, tureckich i arabskich bachmatów. Drogi były zepsute, rozmokłe deszczami i że to śniegi tając poczęły, więc nie dziw, że jechało się powoli, częstokroć ledwo dwie mile na dzień i to zarzynając szkapy. Kontent byłem wielce z onej wyprawy, ale też i z tego, że zbliżam się do mojej błękitnookiej, która mi się nieraz nocami śniła.



...Białogłowa klęka przedemną i ręce składa.

Pomnę jak dziś, dzień był piękny, cichy, ciepły, kiedym się dowlókł z taborem moim do Stopnicy. Ostawiwszy tabor, by sobie odpocząwszy nieco, wolniutko pojechał dalej, wsiadłem na bachmata kupionego pod Wiedniem i samowtór, z jednym pachołkiem pognałem.

Wkrótce ujrzałem Grzymałę i zaraz patrzę, a tu na wzgórzu buduje się zamek piękny i mury już są wyprowadzone wysoko i ludzie koło nich się kręcą. A po drodze chłopi mię spotykają i jaki taki dopada mi do kolan i całuje. Tedy mi się tak miękko koło serca zrobiło, żem dukatami chłopom sypał i wkrótce otoczony gromadą całą, stanąłem przed dworcem ojcowskim. Zaraz zapytałem się o brankę, jest-li zdrowa i co czyni?

— Zdrować ona, zdrowa — rzeknie Andrzej — ale wciąż płacze i smutna jest okrutnie.

Poszedłem tedy do niej. Siedziała, tureckim obyczajem, na dywanie rozesłanym na podłodze, a podle niej leżała lutnia, na której widocznie sobie przygrywała gwoli rozrywki. Pokłoniłem się jej po kawalersku i patrzę, a serce bije mi jakoby młotem. Teraz dopiero przypatrzyłem się jej dobrze. Śliczna ż bo ona, śliczna była. Ubrana była, tureckim obyczajem, w karmazynowe sute szarawary, w kaftan z granatowego aksamitu, gęsto szyty złotem. Tedy popatrzywszy na nią, tknięty jakby urokiem albo-li też czarem jakimś, siadłem podle niej na dywanie i poczęnę pytać się jej o zdrowie, ażali jej się nie przykrzy, ażali wypełniają we dworze jej rozkazy i t. p.

Tedy ona pocznie głosem, co drżał:

— Mości panie, wdzięczną ci jestem bardzo. Bóg widzi serce moje, żeś mi ocalił życie moje i cześć moją niewieścią. Rycerski to jest czyn i tak zawżdy przystało czynić rycerzom chrześcijańskim. Ale rzeknijże mi, cóż myślisz ze mną zrobić?

— Czy ja wiem? — cale dotąd nie myślałem, to tylko pewna, że przykroby mi było rozstać się z wami, piękna pani.

Tedy ona na to nic zrazu nie rzekła, jeno westchnąwszy głęboko, spuściła oczęta i pod parłszy główkę na ręku, pogrążyła się zadumie. Cisza zaległa komnatę. Nagle podniosła główkę i rzekła:

— A cóż waszmość uczynisz z rubinem, coś go wziął z namiotu wezyra Kara Mustafy?

— Cóż mam uczynić? sprzedam i basta.

— Sprzedasz? a któż ci za niego zapłaci tyle, ile wart jest on kamień — wiesz li, że to jest rubin jedyny na świecie, rubin wschodni, wart krocie. — I jakże go sprzedasz, kiedy on jest moim?

— Ten rubin jest twoim? — spytałem zdziwiony.

— Tak, mówię tobie, jam jest Greczynka, księżna Laskarys, on rubin wziął jeden z moich przodków czasu jeszcze bizantyńskiego cesarstwa, na dalekim wschodzie w Samarkandzie, która jest miastem cudów i bogactw pełnem. I on rubin dotąd zachowywaliśmy w naszym rodzie, aż ty go wziąłeś z namiotu wezyra. Mnie wziął wezyr z domu rodzica, jako zakład jego wierności, a jam wzięła rubin ze sobą, jako ostatnia z rodu, acz to jest kamień nieszczęśliwy, bo kto go ma przy sobie, ten zawżdy popadnie w nieszczęście. I owo sprawdziło się to na mnie. Zaprawdę powiadam tobie, polski rycerzu, strzeż się, ten rubin tobie nieszczęście przyniesie.

— A niechże cię! — porwę się — prawisz mi duby smalone. Kiedy tak to go sprzedam.

Tedy branka także powstała i rzekła:

— Nie uczynisz tego, jakem Fatyma Laskarys, rubin jest mój, wara ci od niego!

— Fatymo, ostań moją żoną, obsypię cię złotem, uczynię cię panią i wolną, rubinu się nie tknę, jeno ostań moją żoną.

— Nigdy! psie niewierny! — rzekła — nigdy!

Tedy ja powstałem, a czułem, że krew we mnie wre ukropem.

— Nie żoną moją ale niewolnicą cię zrobię!

I wyszedłem. Takie było pierwsze widzenie się moje z Fatymą na ojczystej już ziemi.

Ciężkie to były chwile mego żywota, on rok cały, jaki przepędziłem po powrocie z wiedeńskiej wyprawy. W duszy mojej rozsiadły się jakieś moce szalone, a bez ochyby szatańskie i taniec tam poczęły. Wszystko na opak widziałem i na opak czyniłem, a byłem jak on, któremu w głowie Bóg pomiesza wszystkie szyki i nieład się tam wielki zrobi i każda siła ducha cale inaczej gra i inaczej idzie.

Piszę to zasie w skrusze, korząc się przed Panem Zastępów i błagając Go o przebaczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Choroba marszałka krajowego hr. Badeniego. Stan zdrowia hr. Badeniego poprawił się znacznie, lecz choroba tak bardzo siły jego nadwerężyła, iż gdy zdrowie jego się poprawi, będzie musiał na czas dłuższy wyjechać i wątpić należy, aby, w razie zebrania się Sejmu galicyjskiego w styczniu 1912, mógł kierować jego obradami.

Zmiana ministerstwa austryackiego dokonała się w ten sposób, że prezydent gabinetu baron Gautsch ustąpił zupełnie; miejsce jego zajął dotychczasowy minister oświaty hr. Stürgkh, a cesarz zamianował nowych ministrów z pośród najwybitniejszych i najzdolniejszych w swoim zakresie wysokich urzędników, wśród których znajduje się Czech Trnka minister robót publicznych. Mianowanie drugiego Czecha ministrem ma niedługo nastąpić. Wśród po zostałych ministrów utrzymał się na stanowisku ministra Galicyi Dr. Zaleski, który obok tego zarządza tymczasowo ministerstwem rolnictwa.

Wojna włosko-turecka. Włosi szli na Trypolis na pewniaka, sądząc, że prawie żadnych strat nie poniosą i po zajęciu punktów nadbrzeżnych zagarną w dalszym ciągu kraj. Pierwsze, t. j. zajęcie nad morzem znajdujących się miast, przedewszystkiem Trypolisu, poszło łatwo; potężne wojenne pancerniki włoskie z dział okrętowych gradem ognia zniszczyły stare mury i wypędziły w dalsze okolice wojsko tureckie. Ale skoro tylko Włosi w mieście się usadowili okazało się, że wojsko tureckie, które zrazu im ustąpiło, nie myśli zostawić ich w spokoju. Arabi, mieszkańcy Trypolitanii, których Włosi usiłowali zje dnać uroczystemi przyrzeczeniami uszanowania ich religii i narodowości, i nawet przyrzeczeń tych chcieli dotrzymać, połączyli się z wojskiem tureckiem i walczą z Włochami. Arabi, jako muzułmani, bliżsi są bądź co bądź Turkom niż Włochom, których, jako chrześcijan, nienawidzą. Były już nawet wiadomości, że Turcy zajęli miasto od strony lądu. Wiadomości te okazały się przesadzone, niemniej jednak obecne położenie Włochów w kraju, który chcą zająć, jest bardzo ciężkie i zachodzi potrzeba wysłania tam dalszych kilkudziesięciu tysięcy wojska. Pokazało się, że przystęp do Trypolitanii, dla pomocy tureckiej, z dwóch stron nie jest zamknięty, z Tunisu i Egiptu. Oficerowie tureccy dostali się do Trypolitanii przez Egipt i zajęli się organizacyą Arabów. Dielny arabski szczep Senussów postanowił z całą siłą walczyć przeciw Włochom; jest on bardzo rozpowszechniony w północnej Afryce i liczy do ośmiu milionów dusz. Włochy dekretem królewskim obwieszczają, że Trypolitania i Cyrenajka weszły w skład królestwa włoskiego i pragną na tej podstawie zawrzeć pokój z Turcyą. Ale Turcya teraz o takim pokoju słyszeć nie chce i mimo, że dawniej prosiła mocarstwa europejskie o pośrednictwo, dzisiaj się go zrzeka.

Rewolucya w Chinach. Wedle dalszych wiadomości z Chin rewolucya wojskowa w tem olbrzymiem, 400 milionów ludności liczącym kraju, bardzo zaważyła na szali losów i ustroju tego państwa. Rząd widocznie nie czuje się na siłach stawiać oporu zbuntowanym wojskom; bunt więc rozszerza się bardzo potężnie i zajmuje coraz nowe obszary. Ażeby więc uspokoić ludność, która miała przyrzeczoną konstytucyę, lecz wykonanie jej odłożono na nieokreślony szereg lat, ogłoszono wprowadzenie konstytucyi. Ponieważ zasady jej obejmują także postanowienie, że obecnie panująca dynastya mandżurska ma dalej w Chinach panować, a rewolucya jest przeciw niej skierowana, wątpliwem jest, czy ta zapowiedź konstytucyi uśmierzy burzę rewolucyjną.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Zwracamy uwagę na reklamacye o zaginione Kalendarze. Kto otrzyma kartkę z zawiadomieniem, że Kalendarz wysłany, powinien otrzymać go bezwarunkowo zaraz na drugi dzień. Gdyby do trzech dni po otrzymaniu kartki Kalendarza nie otrzymał, niech natychmiast go reklamuje. Wystarciy na kartce papieru napisać: „Pomimo otrzymania kartki korespondencyjnej Kalendarza nie otrzymałem". Kartkę taką trzeba zaadresować do „Roli" i nieopłaconą oddać na pocztę. Reklamacyę uwzględnimy jednak tylko do ośmiu dni — późniejsze reklamacye zostaną nieuwzględnione, gdyż później trudno zbadać, gdzie Kalendarz zginął. Wysyłki pilnujemy bardzo, a oprócz tego Urząd pocztowy w Krakowie każdy Kalendarz zapisuje i nam odbiór potwierdza. Wczas więc wniesiona reklamacya ułatwi nam i Dyrekcyi poczt wykrycie winowajcy. Na każdej reklamacyi trzeba napisać swój dokładny adres.

Wybuch gazu w salinach bocheńskich. W poniedziałek, 30 października, o godzinie 10 przed południem zdarzył się w salinach bocheńskich groźny wybuch gazów kopalnianych. Oto jeden z robotników zbliżył się nieostrożnie z płonącą lampką do grupy robotników, pracujących nad zatkaniem otworu, którym wydobywały się gazy. W tej chwili nastąpił straszny wybuch. Trzech robotników zostało rannych. Wszystkich wydobyto nieprzytomnych i przewieziono do miejscowego szpitala. Jeden z ciężko rannych zmarł.

(J. K.) **Z dymem idzie polska praca**. W tym roku, a zwłaszcza ostatnimi czasami, gdy stodoły są pełne, mnożą się ciągle pożary. Co dnia prawie czytamy, że spaliło się wiele gospodarstw, lub spłonął doszczętnie folwark. Dziwną jest rzeczą, że płoną przeważnie gospodarstwa polskie. Zbrodnicza ręka wrogów mieszkających razem z nami, puszcza z dymem pracę naszą, chcąc nas w ten sposób z naszych siedzib wypędzić za San. W Żuratynie, niedaleko Buska, ma ogromne posiadłości Sobieski. Jak już sama nazwa wskazuje jest Sobieski Polakiem. Na każdem też miejscu zaznacza dobitnie, że jest Polakiem i z tego też powodu jest solą w oku niektórym zacietrzewionym hajdamakom. Niedawno temu strzelali do niego przez okno, lecz na szczęście bez poważniejszego wypadku, tylko żoną jego, która uciekła z przestrachu do ochronki zemdlała tam, tak że musiano jechać po lekarza do Buska. Przy końcu zaś października zbrodnicza ręka puściła z dymem cały folwark Sobieskiego. Pożar trwał prawie dwa dni. Spłonęły wszystkie budynki folwarczne a razem z nimi tegoroczne plony; przeszło 300 korcy młynkowanej pszenicy, którą miano odstawić na kolej padło pastwą płomieni. Spłonęły też wszystkie styrty i zagrody dwóch gospodarzy. Oto najnowszy dowód przyjaźni bratniego narodu i świadectwo jego kultury. Oto jest broń naszych sąsiadów, jaką wal czyć chcą z nami. Czy jednak takie postępowanie przyda się na co i jakie skutki jego być mogą, wie tylko Bóg.

(Z. B.) **Śmierć w kościele.** W dniu Wszystkich Swiętych podczas rannej Mszy św. zasłabła w kościele jaśliskim wdowa po cieśli Winnickim z Posady Jaśliskiej. Gdy to zauważono, pospieszono jej z pomocą, lecz daremny był trud, gdyż nie udało się już przyprowadzić jej do życia; wymiesiono ją nieżywą z kościoła.

Tęcza. W Okolicy Mościsk w niedzielę popołudniu pokazała się tęcza nisko na niebie w stronie północnej, jaśniejsza jak w lecie, a później druga, bledsza. Trwało to przez 5 minut.

Napad rabunkowy na Bukowinie. Przed niedawnym czasem późnym wieczorem powracali z targu w Czerniowcach do domu dwaj wieśniacy. Gdy obaj znaleźli się już poza rogatkami miasta, wypadło nagle z przydrożnego rowu pięciu drabów, którzy, rzuciwszy się z pałkami na obu wieśniaków, pobili ich do nieprzytomności, a następnie obrabowawszy z gotówki 130 koron, jaką za sprzedane na targu w Czerniowcach konie przy sobie posiadali, umknęli w niewiadomym kierunku.



Pobici i obrabowani włościanie przeleżeli na gościńcu bez przytomności aż do godziny 2 w nocy, o której to porze dopiero spostrzegli ich dwaj przejeżdżający żydzi. Ci przewieźli ciężko pokaleczonych na stacyę ratunkową w Czerniowcach, gdzie im udzielono pierwszej pomocy i uwiadomiono o wypadku policyę, która też dwóch sprawców napadu aresztowała.

(J. K.) **Krwawa zemsta**. Dnia 31 października zdarzył się następujący wypadek we wsi Sokołówce w powiecie złoczowskim: Dawidowa, dwudziestoczteroletnia gospodyni ma męża ślepego. U niej to służył pewien parobek, który niedawno temu był się z nią pokłócił. Następstwem kłótni było odprawienie go ze służby. Parobkowi żal było tej służby, bo była dla niego korzystną, prosił więc, by go przyjęto napowrót. Jednak prośba nie odniosła pożądanego skutku. Z tego więc powodu postanowił się zemścić. Gdy Dawidowa wyszła z domu za sprawunkami, parobek poszedł do jej męża i oczernił ją przed nim, mówiąc mu, że jego żona chodzi z kochankiem. Gospodarz byłby się zaraz przekonał o tem naocznie, ale będąc ślepym uczynić tego nie mógł. Uwierzył więc słowom parobka. Gdy Dawidowa wróciła do domu, rozzłoszczony mąż wszczął z nią kłótnię, w czasie której wyrzucił ją za drzwi. W sieni stał ukryty parobek. Skoro tylko mąż wyrzucił żonę za drzwi, w tej chwili parobek wyjął rewolwer i strzelił do niej dwa razy. Jedna kula chybiła a druga ugodziła ją w plecy, przebijając tułów na wylot. Zbrodniarza ujęto natychmiast i oddano w ręce sprawiedliwości, nieszczęsną zaś ofiarę odwieziono pociągiem do szpitala we Lwowie. — Oto obraz nowy do czego wiedzie nienasycona żądza mszczenia się. Zemsta, to czyn poniżający strasznie godność każdego człowieka. Tylko nieuświadomiony widzi w zemście największą zapłatę dla siebie za wyrządzoną mu przykrość lub szkodę. Dążeniem więc wszystkich ludzi, pragnących widzieć braci swoich jak najlepszymi, jest uświadomienie ich. Dopiero wtedy, gdy każdy będzie umiał czytać, gdy zrozumie jakim skarbem są książki czy też pisma polskie, wtedy dopiero będziem żyli szczęśliwie. Znikną wszelkie złe uczynki, gdy każdy człowiek: pan czy gospodarz, rzemieślnik czy parobek gazetę uczciwą w ręku mieć będzie. Oby Bóg Wszechmocny dopomógł, aby oświata zaglądnęła do każdej, choćby najmniejszej, kurnej chaciny!

(J. K.) **Ostrożnie z ogniem.** W ostatnim dniu października wybuchł pożar w chacie gospodarza Mańdiuka, we wsi Terebieże, niedaleko Oleska. Spłonęła chata niedawno postawiona. Szkoda znaczna, gdyż chata nie była ubezpieczona, a co gorsza, biedny gospodarz musiał pożyczkę zaciągnąć, by ją wykończyć. Położenie więc jego jest bardzo przykre, tem bardziej, że sroga zima zaczyna już zaglądać do chat, a on został bez dachu nad głową. Przyczyną pożaru było nieostrożne obchodzenie się z ogniem, a mianowicie gospodyni, zapalając drzewo pod piecem, rzuciła płonącą zapałkę na podłogę, na której leżało sporo przędzy. Przędza zaś jako materyał bardzo prędko palny, zajęła się zaraz, tak, że w jednej chwili cała izba stanęła w płomieniach. O ratunku mowy być nie mogło, tembardziej, że wody nie było pod ręką. — Bądźmy ostrożni i nie rzucajmy nigdy niezgaszonej zapałki na ziemię, gdyż w przeciwnym razie mienie nasze, jak owego gospodarza, może pójść z dymem.

(N. N.) **Przejechany przez pociąg**. Na stacyi kolejowej w Mościskach zdarzył się straszny wypadek: Pewien gospodarz z Krysowic przywiózł buraki cukrowe do kolei i usiadł na beczkach tuż obok toru. Przy szybowaniu pociągów, wskutek wstrząśnienia, beczki runęły a on wpadł pod pociąg, który go zmiażdżył na drobne kawałki. Nieszczęśliwy zostawił pięcioro dzieci sierotami Żona, która po niego przyjechała, zemdlała na widok tak strasznie pokaleczonego.

(W. P.). **Huczne poprawiny**. W Pstrągowej, w powiecie strzyżowskim, u gospodarza Gątarskiego odbywały się poprawiny, podczas których wszczęto bójkę a raczej formalną bitwę. Rezultatem jej jest, że siedmiu leży ciężko uszkodzonych, a ósmy, Jędrzej Stanasz, ojciec pana młodego, walczy ze śmiercią. Powodem bójki było podobno porzucenie innej dziewczyny przez pana młodego; rodzice i brat jej postanowili sprawić mu na jego weselu łaźnię, no i zrobili taką, która może będzie powodem śmierci niewinnego człowieka.

Walka na dachu. W Laksenburgu pod Wiedniem, podczas budowy fabryki, jeden z robotników, nałogowo oddający się pijaństwu, został oddalony. Nazajutrz, podpiwszy sobie porządnie, wgramolił się na dach nowej budowy i zaczął zajętym tam robotnikom wyprawiać awantury. Przezywał ich, przeszkadzał w pracy, nawet zaczął bić.



Nie pomogły upomnienia, żeby poszedł do domu wytrzeźwić się i poszukał pracy gdzieindziej. Pijak klął, wrzeszczał i bił na wszystkie strony. Nie mogąc sobie z nim dać rady, posłał kierujący budową po straż pożarną, ta po długim zaciętym oporze, stoczywszy z oszalałym przez wódkę awanturnikiem prawdziwą walkę, związała go i po desce skrępowanego spuściła na dół, gdzie już czekała policya. Obrazek nasz przedstawia to niezwykłe zajście.

(N. N.) **Zasypany gliną.** W Strzelczyskach, w pow. mościskim, pojechał gospodarz ze swym 12-letnim synem po glinę. Gdy nałożyli już całą furę i mieli odjeżdżać, chłopiec chciał jeszcze nabrać na łopatę, gdy nagle zanadto podkopany brzeg usunął się i zasypał go tak silnie, że gdy go wydobyto, był już bez życia.

(N. N.) **Zabójstwo żony.** W miejscowości Doboszówka w pow. mościskim, stał się straszny wypadek zabójstwa żony przez męża. Gospodarz Franciszek Nuckowski był w Ameryce, a w domu zostawił żone z czworgiem dziatek i posyłał pieniądze do domu aby żona spłacała niemi długi Nuckowska zaś trwoniła je ze swoim opiekunem. Gdy mąż powrócił z Ameryki żona uciekła od niego. Ten postanowił ją ukarać. W niedzielę 22 października przyjechał do domu podchmielony, ale jej nie zastał. — Poszedł ją szukać i znalazł ją u sąsiada, wziął do domu i tu ze swymi spólnikami, synami opiekuna, zamord wali ją w straszny sposób. Rano poszedł dać znać o swej zbrodni wójtowi, a gdy go żandarmi zabrali do aresztu, nie okazał żadnej skruchy.

(J. Z.) **Pożar.** W dniu 28 października wybuchł w Budzowie pożar w gospodarstwach włościańskich, oddalonych o ćwierć kilometra od kościoła. Z powodu szalonego wiatru, zaniósł wiatr snopek płonący na kościół, który spłonał doszczętnie, a ponadto 13 budynków i stodół z wszelkiemi plonami, tak że nic nie pozostało. Szkoda wynosi 40 000 koron.

(A. C.) **Zemsta złodziei.** W niedzielę w nocy z 29 na 30 października wkradli się do stajni Pawła Tyrny w Bierach, na Śląsku austr., niewyśledzeni dotąd sprawcy Lecz ktoś ich spłoszył i odeszli z niczem. Mszcząc się widocznie za niepowodzenie, stojącą w stajni krowę jeden z nich pchnał nożem tak głęboko w brzuch że krowe musiano zabić.

(A. C.) **Pożar wzniecony przez włamywaczy.** We wtorek 31 października, o godz. 2 rano, włamali się jacyś sprawcy do sklepu Lachmana w Jaworzu, na Śląsku austr., przez otwór w murze wyrąbany i skradli wielką część towaru. Lecz jeszcze tego mieli zamało i zaczęli brać towary płynne. — Z powodu, że przy tem przyświecali za blisko, materyał objął ogień i powstał pożar, który zniszczył cały dom do szczętu wraz z towarami. Byliby się wszyscy domownicy żywcem spalili, gdyby jeden ze sprawców ich nie zbudził. Sprawców dotąd nie wyśledzono.

(J. T.) **Kradzież.** W nocy z 22 na 23 z. m. włamali się jacyś rabusie nieznani do sklepu Jerzego Lorka w Jasienicy i skradli dużo różnego towaru, włożyli do wozu, który ze sobą przywieźli i odjechali w stronę Skoczowa. Szkoda wynosi przeszło 400 kor., ale wszystko było asekurowane.

(A. K.) **Ślub i pogrzeb.** W Bośni, w kolonii polskiej Górne Bakińce, dnia 27 października gospodarz, Jan Skutnik, pojechał do miasta ze starszym zięciem, by poczynić zakupy na wesele córki. Z powodu nadmiernego podchmielenia na drodze, wpadł ów zięć między konie, które go tak stratowały, że wkrótce zmarł. Dnia 29 października odbył się ślub córki Skutnika i pogrzeb jego zięcia.

Popis złodziejski. Niezwykłej kradzieży dokonano w Wiedniu, w budynku kolei południowo-zachodniej, kradzieży, która może uchodzić za prawdziwy popis sprytu i zręczności złodziejskiej. Mianowicie w magazynie, należącym do jednej z firm tamtejszych, złodzieje wśród największego ruchu wykradli kasę ogniotrwałą i wywieźli ją wraz z kilku tysiącami koron, które zawierała. — Ze względu na wielki ruch nikomu wywiezienie kasy nie wydało się podejrzanem, a bezczelni złodzieje umieli też korzystać z tego.

Walka z cyganami. Niedawno temu pewna miejscowość na Węgrzech była widownią prawdziwej walki żandarmów z bandą cyganów. Próżniacze i szkodliwe te włóczęgi, zajechawszy do tej miejscowości, postanowiły obrabować tamtejszego zamożnego handlarza win. Pewnego popołudnia, gdy ludzie byli w polu, kilkunastu uzbrojonych cyganów wpadło na obejście winiarza.



Szczęśliwym trafem przechodziło opodal trzech żandarmów, którzy spostrzegli, co się dzieje. Natychmiast więc uderzyli na zbójecką zgraję; ponieważ zaś cyganie zaczęli strzelać, wywiązała się zacięta walka. Jeden z cyganów został zabity, resztę ujęto. Dzięki tylko obecności w niebezpiecznej chwili żandarmów, handlarz wina nie został obrabowany.

Cholera jeszcze dotąd nie wygasła w Europie. W ostatnim czasie było kilkadziesiąt wypadków cholery na Węgrzech. Od 8 do 15 października było w Serbii 53 wypadków cholery. We Włoszech i Turcyi cholera także jeszcze trapi ludność. Z Odessy, w południowej Rosyi donoszą, że pojawiła się tam nietylko cholera, ale i dżuma. Z Charbina, na dalekim Wschodzie donoszą o kilku wypadkach dżumy.

Ofiara chciwości rodziny. O niezwykłym fakcie okrucieństwa względem najbliższego członka rodziny donoszą z Płocka w Królestwie Polskiem. Policya tamtejsza otrzymała wiadomość, że w jednym z domów przy ulicy Szerokiej od kilku lat jest zamknięty jakiś żyd. W celu stwierdzenia pogłosek policmajster miasta i naczelnik oddziału śledczego udali się na miejsce wskazane, do domu Pantofla i zażądali od synów właściciela domu, aby dali klucze od mieszkania na strychu, na trzeciem piętrze. Pantoflowie odpowiedzieli, że kluczy nie mają. Wezwano tedy ślusarza. Przybyli weszli do izdebki, ale cofnęli się natychmiast, nie mogąc znieść odrażającego powietrza. Dopiero po chwili przedstawiciele władz wkrocyli ponownie, a wówczas oczom ich przedstawił się zgrozą przejmujący widok. W kącie maleńkiej izdebki, na łóżku, na zgniłej słomie leżał żyd w brudnych szmatach, pokryty robactwem. Jak się okazało, był to jeden ze synów właściciela domu, Józef Pantofel, który w tym brudzie więziony był cztery lata. Według krążących pogłosek więziono go z powodu chciwości na jego majątek. Nieludzką rodzinę aresztowano.

Sprawa Macocha nowy i zgoła niespodziewany bierze obrót. Oto przed sędzią śledczym odwołał naraz wszystkie swoje dotychczasowe zeznania i oświadczył, że w zamordowaniu swego brata nie brał żadnego udziału i całą winę zwalił na sługę klasztornego Załoga. Jak wiadomo, Załóg drapnął i schował się, czy też go schowano tak dobrze gdzieś w Rosyi, iż go dotąd nie wytropiono. Na niego więc stara się Macoch zwalić teraz całą winę. Z tego powodu proces ma być odroczony na czas nieograniczony.

Oblężenie bandytów. W Łodzi w zeszłym tygodniu rozegrała się krwawa walka z bandytami. Trzech niebezpiecznych zbójów ukryło się na poddaszu kamienicy, a policya, nie mogąc ich ująć, wezwała straż pożarną, następnie wojsko. Oblężenie trwało 30 godzin, w dzień i w nocy; dano z obu stron 5 tysięcy strzałów, wkońcu na dach sąsiedniego domu wciągnięto kartaczownice i z tych prażono bandytów. Była to prawdziwa bitwa; strzały rozlegały się daleko po ogromnem mieście, budząc popłoch i trwogę. Założono także, do opróżnionego zresztą z mieszkańców domu, dwa naboje dynamitowe, by w ten sposób bandytów wysadzić w powietrze. Przed wieczorem, 4 listopada, kiedy bandyci już od dłuższego czasu nie dawali znać o sobie, sądzono, iż zostali kulami, wpadającemi do wnętrza, ubezwładnieni. Dla przekonania się wciągnięto manekin, ubrany w odzież policyjną, w ten sposób, żeby go bandyci zobaczyli. Jeden z nich, wysunąwszy obie ręce, w których miał w jednej brauning w drugiej mauzer, dał do manekina kilka strzałów. Bandytą tym był Franciszek Banasiak, który jeden tylko podczas całej akcyi ukazywał się to tu, to tam. Wieczorem Banasiak odpowiadał na wołania policyi z humorem i wesoło, że nie da się wziąć żywcem. Czelność Banasiaka była wprost zadziwiającą. Dnia 5 b. m. rano wtargnęła policya do oblężonego domu i na strychu znalazła trupa bandyty Jana Banasiaka. Nie stwierdzono, czy sam się zastrzelił, czy padł od kul. Tak się skończyło to 30-godzinne oblężenie w czasie pokoju.

Bunt w więzieniu. W więzieniu mińskiem, na Litwie, zbuntowało się kilku więźniów, osądzonych na więzienie dożywotnie. Uwolnili oni około 100 innych więźniów, którzy strzelali z rewolwerów do żandarmów. Dwaj więźniowie zabici, pięciu więźniów i pomocnik prystawa ranni.

Klub samobójców. W Petersburgu wykryto klub samobójców, rekrutujących się przeważnie z niedojrzałej młodzieży gimnazyalnej. W przeciągu niespełna miesiąca 10 członków klubu odebrało sobie życie — jak stwierdziły dochodzenia.

Obłąkany lekarz. W jednym z szpitali petersburskich rozegrała się niedawno scena, wstrząsająca grozą. Profesor Dr. Razumin miał właśnie przeprowadzić operacyę ślepej kiszki. Obok niego stali dwaj asystenci, chory leżał już na stole operacyjnym, siostry miłosierdzia ukończyły już wszystkie przygotowania. Wtem profesor wziął w rękę nóż operacyjny i przdmówił widocznie wzburzony:

— O wiele rozumniej byłoby zrobić odrazu koniec z tym człowiekiem — poco ma się dłużej męczyć?



Przerażeni asystenci spojrzeli na profesora, a widząc jego zmienione rysy i cały wyraz twarzy, domyślili się w jednej chwili, ze profesor uległ nagle napadowi szału. Jeden z asystentów chwycił więc szaleńca i odepchnął go od chorego. Wywiązała się rozpaczliwa walka. Zakonnice tymczasem zaalarmowały innych lekarzy i służbę szpitalną, przy pomocy których zdołano wreszcie nieszczęśliwego ubezwładnić i wyprowadzić z sali operacyjnej, poczem asystent dokonał ciężkiej operacyi i chory ocalał. Dr Razomin, który nałogowo oddawał się pijaństwu, został umieszczony w zakładzie obłąkanych. Obrazek nasz przedstawia ten wstrząsający wypadek.

Napad na serbskiego wędrowca. Redaktor jednego z serbskich dzienników Dr Milosz Radoikovic przedsięwziął przed trzema laty podróż pieszo naokoło świata. Niedawno przybył on w okolice Brandenburgii koło miasteczka Wusterhausen, gdzie w przydrożnym rowie usiadł, by trochę wypocząć. Tutaj spotkała go przygoda bardzo niebezpieczna, którą może nawet życiem przepłacić. Oto woźnica zarządcy dóbr Senftera, który odwoził swego pana na dworzec kolejowy, oświadczył inspektorowi kolejowemu, że po drodze napadł go jakiś bandyta i groził mu rewolwerem. Inspektor, nie zważając na to, że woźnica był zupełnie pijany, przybrał sobie do pomocy dwóch towarzyszy i z nimi udał się na wskazane miejsce.



Tutaj zobaczyli rzeczywiście postać leżącą na murawie, niedaleko niej dwa duże psy i, nie mówiąc ani słowa, zastrzelili psy. Kiedy Dr Radoikovic powstał i zażądał wytłumaczenia, Niemcy odpowiedzieli mu salwą strzałów, od której domniemany bandyta padł na ziemię. Następnie udali się do miasta i strzałami zaalarmowali policyę, która też wkrótce znalazła się na miejscu wypadku. Rannego Radoikovica odwieziono w groźnym stanie do szpitala, sprawcom zaś nieszczęścia wytoczono śledztwo, gdyż Radoikovic absolutnie nie mógł robić wrażenia bandyty, tem mniej można było polegać na doniesieniu zupełnie pijanego woźnicy.

Dwanaście dzieci spalonych. Straszny wypadek zdarzył się we wsi Strzelce, w powiecie noworadomskim w Królestwie Polskiem. W pewnem mieszkaniu wybuchł ogień rano, gdy dorosłe osoby z całego domu zbierały grzyby w lesie znacznie oddalonym. W płomieniach zginęło 12 dzieci, które nie zdołały wyratować się z płonącej chaty.

Wojowniczość maryawitów. Pisaliśmy już o niedorzecznej sekcie religijnej maryawitów, rozszerzonej w Królestwie, która, dzięki Bogu, zwolna zaczyna chylić się do upadku. Izba sądowa warszawska rozpoznawała niedawno sprawę kilkunastu maryawitów, oskarżonych o to, że w dniu 1. kwietnia 1906 r., powodowani nienawiścią religijną ku katolikom, przybyli tłumnie do wsi Łubiec, w gminie Radzików w powiecie błońskim, wypędzali tam katolików z mieszkań i bili za to, że nie chcieli przyłączyć się do maryawityzmu. W pierwszej instancyi skazani zostali na karę więzienia od 2 miesięcy do

roku. Izba sądowa wyrok I instancyi uchyliła i skazała napastników na lżejsze kary. — Rząd rosyjski wogóle popiera maryawitów, rad, że odszczepili się od Kościoła katolickiego.

Pruska sprawiedliwość. Przed kilku tygodniami feldfebel pruski Gaedke napadł w złości na pewnego kucharza i poranił go śmiertelnie. Obecnie sąd wojskowy uwolnił zbrodniarza od wszelkiej odpowiedzialności, gdyż, jak zaznaczono w wyroku, sędziowie nie mogą uwierzyć, aby podoficer pruski mógł po trzeźwemu i przy zdrowych zmysłach porąbać kogo szablą. Żołnierze pruscy więc wobec takich wyroków mają zupełną bezkarność i wobec ludności cywilnej mogą dopuszczać się wszelkich nadużyć, gdyż sąd pruski nie uwierzy, by to było prawdą. Ładna sprawiedliwość!

Handel dziećmi w Berlinie. Policya berlińska wykryła, że istnieją w stolicy Prus handlarze, którzy kupują dzieci po różnych cenach, od 300 do 10.000 marek i bez trudności wywożą je za granicę w różnych celach. Wielką część dzieci biorą handlarze rzekomo na wychowanie za pewnem wynagrodzeniem i umieszczają je w paryskim domu podrzutków, pozostawiając troskę o ich utrzymanie rządowi francuskiemu. Okazało się nawet, że pewna podejrzana para małżeńska w jednem z przedmieść berlińskich otrzymała koncesyę na utrzymywanie dzieci, których rodzice chcą się pozbyć. Przyjmuje ona dzieci za wynagrodzeniem 3.000 do 5 000 marek i tak czule się niemi opiekuje, że w krótkim czasie umierają lub gdzieś giną. Kobieta owa była nawet przez dwa lata urzędową opiekunką sierot. Obecnie niegodziwe to małżeństwo znajduje się w więzieniu.

Nawet cesarzowi nie wolno! Gazety niemieckie opisują ciekawą przygodę cesarza Wilhelma na przechadzce podczas manewrów floty w Świnoujściu. Cesarz w towarzystwie jenerała i dwóch adjutantów chciał zbliżyć się do brzegu, aby przyjrzeć się manewrom, lecz dwaj żołnierze stojący na posterunku, wzbronili mu przejścia z powodu strzelania z okrętów. Cesarz zawrócił i chciał dalej przejść, lecz i w innem miejscu żołnierze zabronili mu dostępu do strzelających marynarzy z okrętów. Rad nie rad udał się na miejsce odległe na skały i stamtąd razem ze swoją świtą przypatrywał się ćwiczeniom strzelania z okrętów.

Angielska para królewska w Indyach. Dnia 11 listopada rozpoczyna się podróż króla angielskiego Jerzego z królową Maryą do Indyi w Azyi, które stanowią bardzo dawną posiadłość Anglii. — Każdy król angielski nosi też tytuł cesarza Indyi. W ubiegłem stuleciu wszakże królowie angielscy nie wyjeżdżali do Indyi. Obecnie po raz pierwszy od 150 lat król angielski udaje się do tego poddanego kraju, by odbyć uroczysty wjazd do drugiej swojej stolicy. Stąd też na podróż tę poczyniono daleko idące przygotowania, z których kilka szczegółów może wzbudzić zainteresowanie: król wystąpi tam w nowej t. zw. indyjskiej koronie, którą kazał zrobić; królowa zaś w tej samej, jaką miała w czasie koronacyi, zdobnej w olbrzymi dyament, zwany »górą światła«. Na parowcu, którym pojedzie para królewska, pracuje obecnie kilkudziesięciu robotników, którzy urządzają kajuty dla pary królewskiej. Obok kajut królewskich mieści się kajuta, w której zamieszka nadzorca klejnotów koronnych. W skarbcu pomieszczone będą i trąby srebrne w liczbie 24, zamówione przez króla, które ogłoszą w mieście Delhi wstąpienie na tron cesarza Indyi. Liczny orszak królewski zajmie szereg kajut, urządzonych wykwintnie. Orszak służby stanowi 70 ludzi. Załoga okrętu składa się z 600 ludzi. Zapasy żywności, jakie zabiera na pokład, obejmują wszystko, czem zazwyczaj rozporządza kuchnia królewska. Również trzy krowy z obór królewskich odbędą przymusową podróż do Indyi, by na okręcie nie brakło świeżego mleka.

Nieprzyjaciele wąsów i brody. Wiadomo, że Anglicy golą wąsy i brodę. W ostatnich czasach powstało jednak w Londynie stowarzyszenie przeciw goleniu zarostu, które obliczyło, że Anglicy wydają na golenie rocznie kilkanaście milionów koron, a te pieniądze możnaby wydać na cele o wiele pożyteczniejsze. Gazety angielskie pokpiwają z tych wrogów wąsów i brody, twierdząc, że odezwami swemi, ogłaszanemi po całej Aglii, do niczego nie doprowadzą, bo Anglik jest zachowawczym w swych zwyczajach, brody i wąsów nie cierpi i będzie je golił dzisiaj tak samo, jak dawniej golili jego przodkowie.

Położenie pieniężne Turcyi. Zastój w handlu i interesach, upadłości, jakoteż podrożenie wszystkich ważniejszych artykułów spożywczych wskutek wojny, uczyniły tak w Konstantynopolu, jako też i w innych miastach handlowych Turcyi położenie nadzwyczaj ciężkie. Można powiedzieć, że kredytu tak dobrze jak niema. Dochody państwa wykazują od kilku dni silny spadek. Zapasy w kasach państwowych mają już tylko na jeden miesiąc wystarczyć. O ile w ciągu tego czasu nie przyjdzie do jakiejś udałej pieniężnej operacyi, znajdzie się skarb państwa w poważnym kłopocie i nie będzie w stanie opłacać swych zobowiązań. Nieustannie toczą się też rokowania z finansowemi instytucyami o dalsze zaliczki celem dalszych zbrojeń, na które zresztą minister wojny rozporządza szczęściem funduszem 50 milionów franków.

Operacya wśród płomieni. Niezwykle groźny wypadek wydarzył się przed niedawnym czasem w amerykańskiem mieście Indyanopolis, w tamtejszym szpitalu. Właśnie odbywała się w sali operacyjnej nader ciężka i niebezpieczna operacya chirurgiczna na jednym z chorych, gdy naraz w zakładzie wybuchnął pożar i niebawem cały szpital stanął w płomieniach, a wszystkie sale wypełniły kłęby duszącego dymu. Rozpoczęła się rozpaczliwa walka z szalejącym żywiołem, w mieście uderzono na gwałt w dzwony, przyjechała straż pożarna. 120 chorych zdołano powynosić z płonących sal.



Dwaj lekarze-chirurgowie nie mogli jednak przerwać niebezpiecznej operacyi na chorym, pogrążonym w sztucznym śnie, gdyż przerwanie operacyi groziło śmiercią chorego. Obaj ci lekarze wykazali niezwykłą energię i zimną krew. Wśród morza płomieni, pod osłoną straży pożarnej, dokończyli ciężkiej operacyi, poczem zbudzili chorego, którego z zachowaniem wszelkich ostrożności wyniesiono z płonącego budynku. Mimo tak niezwykłych przeszkód, operacya, której najgroźniejszą chwilę przedstawia nasz obrazek, powiodła się dobrze i chory ma się doskonale.

Zażarte przeciwniczki małżeństwa. Grono panien różnego wieku i urody utworzyło w Nowym Jorku związek, którego zadaniem było zwalczać instytucye małżeństwa. Panny przysięgły sobie, że nie narażą nigdy na szwank swobody dziewiczej. Na czele związku przeciw-małżeńskiego stanęła młoda i ładna Katarzyna Brown. Przez dwa miesiące żadna z panien nie sprzeniewierzyła się powziętemu postanowieniu; lecz oto pewnego dnia Katarzyna, jadąc samochodem, uległa wypadkowi. Od śmierci niechybnej uratował ją młody i piękny mężczyzna. Stało się to, co się nieraz dzieje w razach podobnych: uczuła dla swego zbawcy tak żywą wdzięczność, że nie znalazła innego dowodu, jak ofiarę ze swej wolności. Można sobie wystawić oburzenie jej towarzyszek. Postanowiły rozwiązać związek natychmiast, a na znak żałoby wyjść zamąż w ciągu miesiąca. Ale podobno nie poszło to tak łatwo, bo ochotników na mężów od razu nie znalazły.

Rozpaczliwy czyn. Pewien profesor w Nowym Jorku z powodu śmierci ukochanej małżonki nosił się dawno z myślą popełnienia samobójstwa. W tych dniach wreszcie wsunął się do pokoju sypialnego dzieci swoich: synka i dwóch córeczek, pogrążonych we śnie i pozabijał je uderzeniami w serce śpiczasto zakończonym nożem, poczem zastrzelił się z rewolweru. W liście do krewnych nieszczęsny zabójca i samobójca oświadcza, że nie może żyć bez ukochanej żony, a ponieważ nie chce pozostawić dzieci na łasce losu, odbiera więc życie im i sobie. Do takich to czynów okropnych doprowadza ludzi nieukojona tęsknota, jeśli nie broni ich głęboka wiara, pogodzenie się z wolą Bożą. Prawdziwie religijny człowiek największe ciosy przyjmuje spokojnie i taka nieokiełzana rozpacz, jak owego profesora, nigdy do jego serca nie znajdzie przystępu.

Sposób na niezgodne małżeństwa. Ameryka jest krajem nieograniczonych możliwości. To też dziwić się nie można, że w Nowym Jorku istnieje osobny dom dla mężatek. Pomysł to prawdziwie amerykański, usiłujący godzić dwoje zwaśnionych małżonków przez pożycie w oddaleniu od siebie. — W tym wolnym kraju, gdzie rozwód otrzymać bardzo łatwo, istnieje jednak sporo niezgodnych małżonków, którzy jednak rozwodzić się nie chcą, a żyć wspólnie nie umieją. Poza tem małżonkowie są już w takim wieku, że o powtórnem szczęściu w innych więzach małżeńskich myśleć już nie mogą. W takiem właśnie położeniu była pewna mężatka, która nie mogła wytrzymać ze swoim mężem. Założyła więc dom gościnny dla mężatek, gdzie własnemu mężowi pozwala odwiedzać się raz na tydzień, na święta zaprasza go na obiad i odtąd żyje z nim w najlepszej zgodzie.

W domu tym mieszka wiele mężatek, z których najmłodsza ma już 40 lat a najstarsza 90. Odwiedzają je mężowie tylko w sali dla gości. Przepisy zabraniają przyjmować męża w pokoju zamieszkanym przez żonę. Wszelkie zwierzenia i czułości małżeńskie są raz na zawsze z tego domu wyświecone. Wszystkie mężatki tam mieszkające, bardzo są zadowolone z tego rozłączenia, mężowie również. Nie będąc ciągle razem, nie mają poprostu czasu na sprzeczki i kłótnie nawet najbardziej niezgodne małżeństwa. Dodać jednak trzeba, że wszystkie te małżeństwa są bezdzietne.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Jan Prządz z P.: Za serdeczną życzliwość odwzajemniamy się wzajemną przyjaźnią. — Józef Bąk: Kalendarz na pewno Pan otrzyma. Życzymy wygranej. — Ludwik Dymitrowicz: Wzajemne pozdrowienie. Niema jeszcze kalendarzy kartkowych, natychmiast jak się ukażą, będzie Panu wysłany. — Najprzew. Ks. Infułat St. Walczyński w T.: Pospieszamy złożyć serdeczną podziękę za miłe dla nas słowa uznania. Pochwała usłyszana z tak Czcigodnych ust dodaje bodźca do dalszej pracy. — Jerzy Klaisek w K.: Owszem, niech Pan przyśle, będziemy bardzo wdzięczni. — Wasyl Lech w J.: Jest to tylko tłomaczenie się pana pocztmistrza, gdyż my wcale nazwiska p. W. B. nie znali a Kalendarz wysłaliśmy pod adresem Pańskim. — Kazimierz Piękoś w C: Cieszą nas tak miłe słowa — dziekujemy. Również dziękujemy za prenumeratę dla p. B. — Jan Wrona w Ch.: Ma Pan numer 634. Kalendarz wysłany był 25 października. — Adam Jesionek w Ch.: Utwory otrzymaliśmy — dziękujemy. — Józef Jarmuła w Z.: Artykuł i wiersze przyszły — umieścimy. — Tyrna Józef w J.: Do konkursów wszystko wliczamy, wynik będzie w nrze 52. — Karol Stwiertnia w K.: Kalendarz był dla Pana — zaszła tylko pomyłka w imieniu. — Józef Kapuściński w L.: Kalendarz był wysłany dla Wojciecha K. Może Pan powiedzieć listonoszowi, aby lepiej pilnował swych obowiązków, bo wskutek naszych zażaleń Dyrekcya poczt zwraca obecnie baczną uwagę na doręczanie Kalendarzy, a w razie wykrycia przyrzeczono nam winnych surowo karać. »Rolę« powinien Pan zawsze w piątek otrzymywać, jezeli przychodzi później, to ktoś po drodze czyta. Wiersze i artykuły pójdą powoli. — Adam Lyssek w H.: Dziękujemy za słowa uznania. — Leopold Staigl w J.: Kalendarza nie mógł Pan otrzymać, gdyż Pan nie nadesłał prenumeraty na 1912 rok, jak również kartki do Pana nie wysłaliśmy. — Bogusia Moroniówna w Ł.: Szarady chętnie umieścimy. — Franciszek Zydroń w W.: Numer na okaz wysłaliśmy. Szarady umieścimy, ale rebus niemożliwy, gdyż z rysunków ołówkiem nie można zrobić odbitki. — Jan Kulczycki w R.: Historyę ill. dostarczy każda księgarnia. Najobszerniejszą wydał Bondy we Wiedniu. — Walenty Pasierb w Cz.: Nadesłaną powiastkę wydrukujemy — może nawet z obrazkiem. Prace gotowe najlepiej zaraz nadsyłać. — Zygmunt Bogdański w J.: Za życzliwe uwagi serdecznie dziekujemy. Prace pójdą, ale kiedy, trudno z góry oznaczyć. — Wawrzyniec Pietrucha w Rz.: Wierszyk i pieniądze otrzymaliśmy. Wszystko wysłane. Fotografie całej Redakcyi damy w przyszłym roku. — Julia Boratyńska w R.: W numerze pierwszym z 1912 r. zaczniemy drukować dwie bardzo piękne powieści a mianowicie: »Berezyna« i »Rozbitki z balonu«. — Jan Wilk w O.: Szczerzebyśmy pragnęli, aby los Panu poszczęścił, ale to od nas nie zależy. Za miłe słowa serdeczne dzięki. — Franciszek Zdeb w Cz.: Za pozdrowienia serdeczne dzięki. Rozwiązanie musiało zaginąć. — Jakób Paff w Ch.: Z wesołego wierszyka przy sposobności skorzystamy. — Franciszek Wawro z B.: Numera żądane odesłaliśmy, należy się za nie 20 hal. — Wojciech Popiołek z M.: Prenumerata wraz z Kalendarzem kosztuje 4 Kor. 50 hal.; prosimy o nadesłanie 20 hal. — Jan Ratyński z M.: Numeru 49 z roku zeszłego nie posiadamy. — Franciszek Masłowski z H.: Numeru 6 nie mamy już. — Teofila Forysiówna z H.: Wysłaliśmy numera wszystkie od pierwszego października. Prenumerata zapłacona jest do 1 kwietnia 1912 r. — Andrzej Wróbel w K.: Cieszy nas bardzo pozyskanie tak oddanego »Roli« przyjaciela. — Budzik Jan: Postaramy się nie zawieść oczekiwania naszych Czytelników i w 1912 r

Potwierdzenia prenumeraty za rok bieżący:

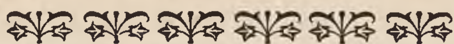
PP.: Stefan Czudak z S. 4.50 K. — Stanisł. Rogoż z D. 80 h. Franc. Gemza z S. 1 K. — Franc. Jaskowski z B. 1 K. — Franc. Jaromin z D. 2 K. — Jan Filapek z B. 1 K. — Jan Stasik z M. 2 K. — Józef Świerczek z L. 1 K. — Jan Dudzic z Z. 2 K. — Mikołaj Walat z W. 1 K. — Franc. Gruca z O. 1 K — Ludwik Wojton z B. 2 K. — Andrzej Kucharski z U. 1 K. — Teofila Torysiówna z K. 5 K. — Wojciech Wijas z S. 1 K. — Stanisław Kiwała z K. 2 K. — Jan Hałatek z P. 4·50 K. — Józef Budniok z D. 2 K — Wojciech Harabacz z W. 2·50 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 7 listop.

Pszenica	Kor.	12—	do	12·40	za 50 kg.
Żyto	„	10·25	„	10·65	„
Jęczmień	„	9·—	„	9·50	„
Owies	„	8 80	„	9·40	„
Otręby pszenne	„	6 80	„	6·90	„
Otręby żytnie	„	6·80	„	6 90	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 7 listopada:

Buhaje	Kor.	158	do	300	za sztukę
Woły	„	220	„	380	„
Krowy	„	150	„	300	„
Jałówki	„	100	„	300	„
Cielęta	„	25	„	80	„
Owce i kozy	„	24	„	30	„
Świnie bita waga)	„	130	„	146	za 50 kg.



Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Ułożyła B. Moroniówna).

Wprost znaczy miłość, istota skrzydlata,
Wspak, to starożytne, wielkie miasto świata.

2. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożyła Zofia Pawłowska).

. Spółgłoska.
. . . . . Nazwa kraju.
. . . Pt k.
. Spółgłoska.
. . . Przyrząd do łowienia ryb.
. . . . . Zwierzę ssące.
. . . Zmysł.
. Samogłoska.

Litery czytane z góry na dół dadzą nazwisko bohatera polskiego.

3. SZARADA.

(Ułożył Franc. Zydroń).

Pierwsze, pół drugie, ilość oznaczamy,
Pół drugie, trzecie pilnie uprawiamy,
Dodaj i w środek, tak kraj nazywamy.

4. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Ki, te, co, go, pil, je, swe, jem, go, nie, nu.

Powyższe zgłoski ustawić tak, aby dały znane przysłowie.

5. SZARADA.

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Pierwsze liczba ruska, jakby trzy,
Druga zgłoska — rzeka włoska,
Trzecie hytre zwierzę,
A całością ja w kraj mierzę,
W ten, co teraz cały drży.

6. SZARADA.

(Ułożył W. Lewandowski).

Pierwsze to kowal miechem pobsyca,
Drugie odmianą będzie księżyca,
Całość zaś częścią jest przedmiotu,
Sprawiającego dość łoskotu.

7. SZARADA.

(Ułożyła Julia Boratyńska).

Idzie rynkiem pierwsza druga,
Trzeci wspak się do nich śmieje,
Pewnie idą kupić całość,
Bo jakoś niebo ciemnieje.

8. KWADRAT magiczny.

(Ułożył S. Stolarzewicz).

a	a	e	e	Wydobywają z ziemi.
k	k	l	l	Szlachetny kamień.
l	o		n	Duże izby.
r	s	s	w	Inaczej duchowni.

8. PRZESTAWIANKA.

(Ułożył Franciszek Krzanowski).

Z podanych zgłosek ułożyć piękne słowa napisane przez Juliusza Słowackiego.

Nie, niech, na, na, niec, nio, cą, wi, żytra, i, i, dzie, przed, są, ro, ka, dem, ty, gawia, oś.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 18 listopada 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 44 *Roli*: 1. Rebus: **Polacy stoją wysoko u narodów ze swej poczciwości.** 2. Szarada: **Balaski.** 3. Szarada: **Chrzanów.** 4. Szarada: **Barcelona.** 5. Łamigłówka: **Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami – nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Adam Warchoł z Z., Franc. Zydroń z W., Wawrzyniec Potoczny z H., Karol Baron z P., Antoni Nowak z H., Józef Urbaniec z J., Józef Pękala z H., Józefa Hirszberg z K., Zofia Oraczewska z Ż., Bolesław Targowski z T., Adela Bezokówna z K. M., Jan Bylica z P., Zygmunt Bogdański z J., Arkadyusz Szarek z S. W.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Jak Piastowie budowali Polskę*** wylosował p. **Karol Baron** z P., zaś drugą p. t. ***Przygody Jakóba Prawdzica*** p. **Józef Urbaniec** z J.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.